GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK III W OBOZIE, DNIA 15 WRZEŚNIA 1942 R. 50

Trzy lata temu

(Dokończenie)

Wojska, znajdujące się na północy w rejonie Białegostoku, Grodna i Wilna, mają być przewiezione do Małopolski Wsch. Linia Wisły i Sanu ma być jak najdłużej trzymana dla umożliwienia odwrotu innych armii. Organizację obrony Małopolski Wsch. powierzono gen. Sosnkowskiemu, Polesia -- gen. Kleebergowi. Warszawa miała być nadal broniona. W trakcie tego następuje dalszy pochód nieprzyjaciela, który uniemożliwia wykonanie powyższej decyzji.

Sytuacja 12 września rano przedstawiona jest na mapce nr 3. *)

W dniu 14 września naczelne dowództwo usiłuje stworzyć trzy zasadnicze ośrodki walki: Warszawa — Polesie — Pokucie. Oddziały będące w Warszawie i przebijające się z Kutna, mają bronić stolicy i Modlina. Gen. Kleeberg ma zorganizować obronę Polesia. Na Pokuciu ma powstać przedmoście rumuńskie z obroną linii Dniestru i Stryja w oparciu o granicę rumuńską. Gen. Sosnkowski umożliwia powodzenie tego planu, rozbijając jedną niemiecką dywizję pancerną i hamując ruch nieprzyjaciela w kierunku na Lwów.

Wkroczenie wojsk sowieckich dnia 17 września kładzie kres dalszym kierowanym działaniom wojennym...

Sytuacja z 18 września rano przedstawiona jest na mapce nr 4. Wojska nieprzyjacielskie znajdują się na linii Białystok, Brześć n/Bug., Włodzimierz, Lwów, napotykając w tych miejscach na opór wojsk polskich. Otoczone, ale nadal walczące mężnie ośrodki oporu znajdują się na Helu, nad Bzurą, w Modlinie, Warszawie, Górze Kalwarii, w rejonie Biłgoraju.

— W chwili tężejącego oporu polskiego przeciwko armiom niemieckim — pisze »Der Bund« z 18. IX 1939 r. w nr 425 — Rosja z całą gwałtownością uderza z tyłu i właśnie ten moment wyzyskuje, aby oświadczyć, że Państwo Polskie już nie istnieje. Rosja nie wstydzi się napaść z tyłu na walczących w największych trudnościach bohaterskich Polaków i zadać im w ten sposób ostatni, decydujący cios. —

O s t a t n i e r e d u t y

Na całym terenie Polski wrą jeszcze zacięte walki pojedyńczych oddziałów i dywizyj. Jednak 19 września pada Gdynia, 20 — kapitulują oddziały walczące nad Bzurą, 29 — ulega Warszawa i oddziały pod Biłgorajem, — poddaje się gen. Przedrzymirski, walczący pod Zamościem, oraz pada Modlin, 1 października poddaje się Hel i wreszcie 6 października pod Kockiem składają broń oddziały gen. Kleeberga. Tak więc wojna w Polsce, nazwana przez nieprzyjaciela »kampanią 18 dni«, trwała w rzeczywistości dni 36... Dzielność wojska polskiego dopiero wtedy została należycie oceniona, gdy się okazało, że opór Holandii, Belgii i Francji razem wziętych załamał się w ciągu dni 45.

K u r o z w a d z e

Wojnę przegraliśmy... Przegraliśmy nie dlatego, żeśmy zaniedbali przygotowań, że — jak chcą niektórzy — mieliśmy nieudolne dowództwo czy zły rząd. Przegraliśmy przede wszystkim dlatego, że walczyliśmy — pozostawieni sami sobie — z ogromną przewagą sił wojennych i że na domiar złego zostaliśmy uderzeni z tyłu przez Sowiety. To były g ł ó w n e przyczyny naszej klęski, aczkolwiek stwierdzić również należy, że i z naszej strony, jak w każdym zresztą ludzkim działaniu, poczynione zostały błędy i dopuszczone zaniedbania, które przyszłość niewątpliwie ustali. Stwierdzić jednak możemy, że nawet uniknięcie tych błędów na stosunek istniejących sił i możliwości ich użycia napewno by nie wpłynęło decydująco i klęski nie odwróciło, chociaż opór, oczywiście, mógłby być skuteczniejszy i dłuższy.

Stwierdzenie to tym bardziej jest konieczne, że na tle poniesionej klęski szczególnie silnie uwydatniały się te zaniedbania i błędy i że przez dłuższy czas uważane były przez niezorientowane społeczeństwo za główne czy nawet jedyne przyczyny przegranej kampanii. Miejmy jednak zawsze w sercu słowa wielkiego patrioty naszego Staszica o tym, że »paść może i naród wielki, zniszczeć tylko nikczemny«. **(a. w.)**

*) Mapki patrz na odwrotnej stronie.

Jan Kasprowicz

Dzień krwi i chwały

Oto dziś dzień krwi i chwały
Na ulicach lud Warszawy,
Biegnie groźny, zły i krwawy,
Wie, że nie jest ciżbą sług.

Woła, krzyczy, grzmi donośnie,
Grób nasz trawą niech zarośnie,
Umrzeć, choćby w życia wiośnie,
Byle ujrzeć, że padł wróg.







W poprzednim numerze na mapce nr 1 białe cyfry na czarno zaznaczonych pozycjach wojsk niemieckich (3 — 2 — 14 itp.) oznaczają ilość: dywizji pancernych, dywizji zmotoryzowanych i lekkich dywizji piechoty. Na pozycjach polskich (kreskowanych): ilość dywizji piechoty — brygad kawalerii.

Polski żołnierz — świadectwo wroga*)

To był pierwszy polski żołnierz, którego ujrzały moje oczy. Na progu granicznej zagrody leżał we krwi z ziemistą twarzą, skurczony z bólu, kolana przy piersiach. Z jego zaciśniętych warg wyrwał się ledwo dosłyszalny szept: »Wody«. Napojony skonał z uśmiechem. Spoczywa teraz na miejscu, na którym padł, pod prostym drewnianym krzyżem, ozdobionym jedynie polskim hełmem i napisem »10 polskich żołnierzy«.

Ten polski piechur zginął jak prawdziwy żołnierz. Bronił nakazanego stanowiska do końca. Jego ładownice były puste, a w magazynku karabinu znajdowały się tylko dwa naboje w chwili, gdy trafił go śmiertelny strzał.

Bronił swego stanowiska do ostatka, choć wiedział, że to śmierć. A obok przy oknach zagrody, zamienionych w strzelnice, we wnękach strzeleckich, wykopanych w ogrodzie, hen gdzieś na granicy, śniło w tym momencie już swój wieczny sen 9 jego towarzyszy-piechurów.

Drużyna, którą tworzyli, zajmowała stanowisko w zagrodzie o kilkaset metrów od granicy. Tu 10 ludzi z jednym ręcznym karabinem maszynowym i 10 karabinami oczekiwało niemieckiego natarcia. Nie mieli za sobą innych silniejszych oddziałów. Wojska polskie koncentrowały się o kilkadziesiąt kilometrów w głąb. By spełnić swe zadanie straży granic Rzeczypospolitej i zasygnalizować ich przekroczenie przez wroga, musieli decydować się na śmierć lub niewolę, albo gwałtowny odwrót po kilku strzałach, odwrót tak podobny w oczach nieprzyjaciela do ucieczki.

Żołnierze ci zrozumieli swój los, który musiał się spełnić w chwili, gdy armia niemiecka poważnymi siłami przekroczy granicę. Wiedzieli, że opór ich może zatrzymać nieprzyjaciela tylko przez kilka godzin najwyżej, a może nawet minut. Jasnym było dla nich, że potem przewaga sił nieprzyjacielskich ich zmiażdży.

Tych 10 nie myślało jednak o odwrocie. Nie przyszło im do głowy wsiąść na stojące w pogotowiu na tyłach zagrody rowery. Zostali w zagrodzie, trwając w pogotowiu.

A gdy o mglistym świcie dnia 1 września świsnęła od strony niemieckiej pierwsza kula, złożyli się ze swych karabinów, odpowiadając strzałem na strzał.

Monotonnie terkotał karabin maszynowy i każdy pełnił swą służbę tak, jak na mustrze w koszarach.

Ani jeden z nich nie opuścił żywy zagrody na granicy, powierzonej ich straży.

Takim był żołnierz polski, wytrwały i rozjuszony, a jednocześnie skromny i niewymagający pod względem zaopatrzenia, gdziekolwiek spotykaliśmy

---

*) Kurt F. W. v. Owen — „Schluss mit Polen", str. 15 — 20.
Dr H. Eichelbaum — „Schlag auf Schlag", str. 98 — 99.
Wulf Bley — „Mit Mann, Ross und Wagen", str. 40.

Dowódca Dywizji o „Gońcu"

Dnia 13 września ub. roku, tuż po wznowieniu „Gońca", wpisał Dowódca Dywizji w naszej kronice redakcyjnej:

„Widziałem Redakcję, pracę oceni opinia czytelników".

Dnia 6 czerwca br. w czasie ostatniej swej bytności wpisał nam Dowódca Dywizji następujące słowa:

> „Przyjemnie jest mi stwierdzić, że wszędzie w obozach żołnierskich „Goniec" jest nie tylko chętnie czytany, ale rozchwytywany i lubiany. Jeden jest tylko zarzut i to dość powszechny, że ukazuje się dość rzadko - woleliby go widzieć w każdym tygodniu. Ta ocena dołu żołnierskiego jest najlepszym uznaniem dla Redakcji. To uznanie i ja jako Dowódca Dywizji w całej pełni podtrzymuję, wyrażając wszystkim pracownikom moje podziękowanie."

Słowa te przyjęliśmy z prawdziwą radością, czując jak wielkim jest w tej pochwale udział wszystkich naszych dotychczasowych Współpracowników i Korespondentów, którym na tym miejscu z okazji naszego jubileuszu 50. numeru dziękujemy. Również wielką nam podnietę do pracy dali wszyscy Czytelnicy „Gońca", którzy przyczynili się do tak ogromnego wzrostu nakładu pisma, który już przekracza 7000 egzemplarzy.

Redakcja

go, choćby w najmniejszej jednostce, o ile ta zachowała swą spójnię wewnętrzną. Czy to były grupy rozbitków, które w rozległych lasach i błotach trzymały się jeszcze całymi dniami bez żywności i uzupełnienia amunicji, odcięte od swoich pułków, bez jednolitego dowództwa, które przyprawiały nas często o ciężkie straty, napadały na kolumny zaopatrzeniowe i jeszcze długo niepokoiły obszar, leżący za naszym frontem. Czy to były oddziały kawalerii polskiej, przebijającej się często z odwagą szaleńczą po otoczeniu ich, czy to byli prości piechurzy, którzy okopawszy się przed jakąś wsią, bronili stanowiska, aż każdy z kolei, rażony kulą w swym wnęku strzeleckim, kończył walkę wraz z życiem.

Niezapomniany będzie dla mnie obraz takich okopów. Poprzed bastion z ciężkimi karabinami maszynowymi wysunięte w szachownicę rowy strzeleckie, głębokie na człowieka i w każdym z nich, jak we własnoręcznie wykopanym grobie, opadła ku ziemi postać strzelca o woskowym obliczu, skrwawionym mundurze i dłoniach, które częstokroć jeszcze po śmierci nie wypuściły karabinu.

Tak się biły drużyny. A oto nieprzyjaciel oddaje hołd także oficerom. Oddziały pancerne szturmują czołgami polski fort. Po częściowym rozbiciu go resztka załogi, która pozostała jeszcze przy życiu, wychodzi z podniesionymi rękami. Pytamy ich: »Czy to wszyscy?«

»Nie — brzmi odpowiedź — komendant jeszcze został.«

W tym momencie rozlega się silny wybuch. Komendant, polski kapitan, wysadził granat ręczny na swych piersiach. Chciał zginąć wraz ze swym fortem, a ponieważ los oszczędził mu kuli nieprzyjacielskiej, sam skończył ze sobą.



A oto drugi przykład:

Kompania pancerna napotkała w marszu ku Warszawie na nieprzyjaciela, stawiającego gwałtowny opór. Wtedy jeden z polskich oficerów dokonał czynu niezmiernie walecznego, w danych zaś warunkach szaleńczego. Wskoczył na mój czołg i próbował bagnetem otworzyć go. Z drugiego czołgu spostrzeżono to i strącono polskiego oficera w mgnieniu oka.

OD REDAKCJI

Odstąpić możemy niektóre egzemplarze »Gońca« I, II i III rocznika. Pragnący skompletować swoje roczniki zechcą zwrócić się do redakcji.

* *
*

Przypominamy zamieszczoną w nr 13 na str. 11 prośbę, aby korespondenci do działu »Z życia obozów« jednocześnie ze sprawozdaniem przysyłali pocztówkę lub fotografię, pozwalającą na zilustrowanie korespondencji. Tylko nie grupy!

Patrzmy na Szwajcarię

W broszurze „Szwajcaria i my“ zebrał dla swych towarzyszów broni p. mjr L. Marchw. garść spostrzeżeń, wrażeń i uwag z internowania w Szwajcarii. Wyjątki z tej pracy oraz prace innych autorów na podobne tematy podawać będziemy w tym dziale.

Ziemia mówi

Patrząc na Szwajcarię mamy roztaczający się przed nami wielki, wspaniały widok na góry — potężne, o ostrych i gołych szczytach, sięgających nieba i niższe, kopulaste, pokryte lasami; wszędzie góry, a między nimi doliny. Na południu i wschodzie potężny mur Alp, na zachodzie z wygięciem od północy wysoki, równą linią biegnący wał Jury, w środku kraina licznych wzgórz, pagórków, szerokich dolin, licznych rzek, rozlewnych jezior. Szwajcaria leży w środku Europy i jest niejako jej węzłem geograficznym. Jest jakby jedną wielką zamkniętą dla siebie doliną. To jakby wielki ul z plastrami, w których znów natura wytworzyła mnóstwo komórek. Komórki, powiązane w plastry, to kantony, plastry ujęte razem — to ul, to Szwajcaria. W całym ulu tętni życie, pracowite życie pszczół.

Kiedyś był to ul dziki, jakby w leśnym pniu wydrążony, dziś jest to ul nowoczesny, pięknie z zewnątrz pomalowany, w środku wygodnie i zmyślnie urządzony.

Oto charakter ziemi. Lud, który Opatrzność na taką ziemię rzuciła, by żyć, musi z tej ziemi brać to, co ona mu daje, musi się do niej dostosować, by z czasem charakter człowieka upodobnił się do charakteru ziemi. My, mieszkańcy równi, tak zdecydowanie różnego krajobrazu — musimy słuchać lepiej to co ziemia szwajcarska mówi, widzieć bystrzej i z tym co ta ziemia mówi — zgodzić się. Bo nie ma takiej ludzkiej siły, która by zrównała z ziemią Alby lub Jurę, zasypała szwajcarskie doliny, a przez to zmieniła charakter ziemi i ludzi.

Człowiek mówi

Szwajcarzy nie tworzą tak jak my, Polacy, jednego narodu, posiadającego wspólny język, wspólne wszystkim obyczaje, wspólną, lub wyznawaną przez większość narodu religię i który by jak my wywodził się z jednego pnia.

Jedność Szwajcarów — to ich jedność polityczna; to co Szwajcarów łączy, to ich historia, natura ich kraju, umiłowanie zasad demokratycznych, stała dążność do posiadania władzy ludowej, rządu uczciwego i sprawiedliwego. Szwajcarzy mówią o sobie, że jeżeli ta ich mieszanina ludów utrzymała się i przetrwała sześć i pół wieku, jest to „cudem historycznym". A stanowi ona dowód, że mimo różnic rasowych, językowych i religijnych, można żyć wspólnie. „My nie chcemy być lepsi od innych — mówi prof. Guggenbuehl — ale myślę, że nasza struktura polityczna czyni nas bardziej szczęśliwymi".

Z tym przywiązaniem Szwajcarów do ich ustroju politycznego, ich dumą z niego, mamy okazję spotykać się na każdym kroku, a że ustrój przetrwał kilkaset lat, więc powód do dumy słuszny.

KONKURS FOTOGRAFICZNY

Na ogłoszony w nr 13/45 KONKURS FOTOGRAFICZNY, którego termin upływa 31 sierpnia br., wpłynęły prace zaledwie 15 (piętnastu) autorów. Wobec tego, iż założeniem konkursu było zgromadzenie jak największej ilości zdjęć oraz uwzględniając, iż właśnie sezon letni sprzyja fotografowaniu, konkurs ten przedłużamy do dn. 1 października br. Mamy nadzieję, że fotografowie-amatorzy, tak liczni w naszych obozach, zrozumieją doniosłość konkursu i wezmą w nim udział, do czego najgoręcej ich zachęcamy.

Jak powstaje „Goniec“

Pracą swą nad pierwszym numerem „Gońca Obozowego“ rozpoczął zespół redakcyjny dn. 15. VIII 1940 r. w warunkach jak najbardziej polowych. Największą trudność sprawiało uzyskanie czcionek polskich. Kiedy trudność ta została przezwyciężona, pierwszy numer pisma ukazał się jako tygodnik z datą 1. IX 40 r., o objętości 8 stron. Poczynając od 1. XII 40 r. „Goniec“ wychodził co dni dziesięć, zwiększając objętość do stron 12. Do końca września redakcja mieściła się w Moospinte pod Münchenbuchsee, następnie została przeniesiona do Ostermundigen pod Bernem, gdzie od początku znajdował się zespół drukarski. W styczniu 1941 r. redakcja pisma została zarządzeniem władz nadzorczych przepołowiona: część jej przeniesiono do Huttwilu, część pozostała w Ostermundigen. W lutym zaczyna się „agonia“ pisma. Wychodzi nieregularnie, w tym miesiącu bowiem ukazują się już tylko dwa numery i tyleż w marcu, przy czym ostatni nr 7/23 wychodzi z datą 25. III 41 r. W początku kwietnia redakcja zostaje zlikwidowana i cały zespół z Ostermundigen po prostu wysłany do „bambrów“ na roboty. W ciągu następnych trzech miesięcy czynniki miarodajne dochodzą do wniosku, że istnienie pisma jest b. wskazane i pożyteczne, w rezultacie czego zrekonstruowany zespół „Gońca Obozowego“ zjeżdża w dn. 10. VII 41 r. do Münchenbuchsee i, bogatszy w poprzednio poczynione doświadczenia, przystępuje do wydawania pisma, którego nr 8/24 wychodzi z datą 6. VIII 41 r., o objętości 12 stron. W numerze 3/35 z dn. 1. II 42 r., rozpoczęto druk dodatku literackiego, zrazu jako składowej części numeru, by w nr 6/38 wyłączyć go w formie dodatku, przeznaczonego na broszurowanie i wysyłanie w postaci książek dla naszych rodaków we Francji.

Poniższy artykuł dajemy z okazji 50. numeru naszego pisma.



Ano, skoro już postawiono takie pytanie, spróbujmy sprawę opisać gwoli oświecenia Czytelników, no i duchowego zbudowania naszych potomnych, którym np. za lat .... 50 wpadnie w ręce ten, cudem jakimś ocalały, pięćdziesiąty numer „Gońca Obozowego“.

Jak każde polskie dzieło, tak i zeszyt „Gońca“ składa się z pomysłu (dobrego... albo kiepskiego) czyli planu oraz wykonania, które też może być udane, albo — mówiąc po francusku — sknocone. Zaczyna się oczywiście od pomysłu, którego wymyślenie przypada z wieku i urzędu tzw. (słusznie czy niesłusznie) redaktorowi naczelnemu. A więc „naczelny“ rzuca czasem przypadkiem okiem na kalendarz, albo też rozmyśla w bezsenne noce i raptem przypomina sobie jakąś rocznicę czy inną okoliczność łagodzącą, którą by należało w „Gońcu“ uwzględnić ku ewentualnemu utrapieniu tzw. szerokich rzesz Czytelników. Ponieważ jednak nie wypada, aby taka bądź co bądź wysoka szarża sama się dalej tym zajmowała, myśl zostaje odstąpiona (po cenie kosztów) tzw. kierownikowi literackiemu oraz innym członkom redakcji, do konkretnego przygotowania.

Ale tu się rozpoczyna — delikatnie mówiąc „tragedia“. Kierownik literacki funduje sobie podwójną dotację ognia, a ściśle biorąc dymu (ulubionej, bo taniej marki „Fib“) wywraca do góry nogami bibliotekę w Rapperswilu i poza tym wpada w melancholię, jeszcze czarniejszą niż kawa, którą czasami popija. Sekretarz natomiast oświadcza z głębokim przekonaniem, że ten rzekomo świetny pomysł i napływające niby rewelacyjne materiały nie zainteresują nawet najbardziej pobłażliwego internowanego — wobec czego sporządza fachowe zamówienie na marmeladę, witaminy lub inne delikatesy, oraz proponuje urządzenie jeszcze jednego konkursu, np. na najpiękniejsze polskie dziecko w Szwajcarii. (Pierwsza nagroda: bezpłatna półroczna kuracja w najzaciszniejszym obozie karnym).



Redaktor numerowy, któremu przypada kolejno opracowanie danego numeru, rozdziera natomiast szaty (uroczyście ale nie dosłownie) i zawodzi w nieregularnych a niedługich odstępach: „Ale gdzież ja to wszystko pomieszczę? Wszystkie śmiecie do mojego numeru!...“ itp. Jednak „naczelny“, z właściwą sobie niezmąconą pogodą ducha, nie bardzo się „przejma“ zarówno sekretarską jak i techniczną obstrukcją, a świadom zwyczajów angielskich, uważa to po prostu za urzędową a nieszkodliwą opozycję Jego Królewskiej Mości.

Tak więc robota idzie (?) zgodnie (!) dłonią w dłoń (powiedzmy!), a lawina rodzących się artykułów, gawęd, zestawień, urywków, poszukiwań, odpowiedzi itp. spada na Bogu ducha winnego i bogobojnego... tłumacza. Wszystko musi bowiem być przełożone pięknie na język niemiecki lub francuski do użytku tajemniczej a groźnej instytucji, zwanej CENZURĄ, lub też Ciotką Anastazją. A zatem tłumacz, z zawodu starszy ułan i agronom, nie licząc paru innych pomniejszych specjalności, mozoli się i stuka na maszynie, jedną ręką (bo drugą przygrywa sobie na fortepianie) aż wreszcie materiał jest gotowy i jedzie do cenzury. Cała redakcja świadoma swej owocnej pracy idzie wtedy zazwyczaj pod „Niedźwiedzia“ na jedną czarną oraz zaczyna się martwić! Tak jest, martwić! Czy i co cenzura zamaluje. Ale równocześnie, aby nie tracić czasu, na wszelki wypadek zaczyna się druk co niewinniejszych szpalt i stronic. A do głosu dochodzi tymczasem redakcyjny Matejko, który co prawda „kołem się toczy“, ale mimo to pewną ręką dzierży ołówek, pędzel i inne malarskie narzędzia. Wprawdzie czasem — wiadomo, koń ma cztery nogi, a potknie się — powstaje w redakcji nad rysunkiem ożywiona rozprawa, czy to ma być hełm francuski, czy też wierzba płacząca, albo na inny podobny artystyczny temat; trwa to dopóki jedna ze stron zostanie przekonana (albo na odwrót...) po czym rysunki wraz z tekstem idą na kamień. Bo trzeba Wam wiedzieć, że poszczególne artykuły i rysunki w „Gońcu“ mają tę znamienną cechę, że rodzą się jak z kamienia,



a drukowane są dosłownie na kamieniu, tzw. sposobem litograficznym.

Ale tu trzeba z kolei omówić nasz godny zespół drukarski. ,,Gońcowi" drukarze stanowią drużynę, wprawdzie nie uzbrojoną, ale za to... zmotoryzowaną, jeżdżą bowiem 10 km na rowerach do drukarni, gdzie spędzają pracowicie cały dzień. Swą żmudną i odpowiedzialną pracę urozmaicają sobie, zależnie od pogody... klęciem, przy czym występują pewne indywidualne różnice. Tak więc niektóry klnie już zwykle przy śniadaniu (zwłaszcza gdy się spóźni i mało mu na stole zostanie do ,,wcięcia") inni zaś wolą przyjemność tę uskuteczniać sobie w drodze, lub przy warsztacie. Wszyscy jednak zgodnie twierdzą, że im to bardzo pomaga, a poza tym, że wpływa to korzystnie na poczytność ,,Gońca". A no, osądźcie sami!

Tak oto mniej więcej, z... lotu kaczki dziennikarskiej, wygląda historia każdego numeru ,,Gońca Obozowego", zanim przybierze on tę szatę, w której dochodzi do rąk Waszych. Opisałem Wam te jego ,,blaski i nędze" na wesoło, ale mogę Was zapewnić, że ,,Goniec" wymaga sporo rzetelnej pracy całego zespołu. Niechaj mu więc — na ten niniejszy jubileusz — opinia Wasza lekką będzie.

Sk.



Polacy w Iranie

W Jerozolimie wydawana jest „Gazeta Polska" Dziennik informacyjny Polaków na Bliskim Wschodzie. Z nr 118 (251) z dnia 20. V br. przedrukowujemy urywki reportażu pod uwidocznionym na wstępie tytułem.

Na lotnisku w Teheranie witają pasażerów przedstawiciele armii czerwonej. Taksówką jedzie się z lotniska do miasta i wnet przybysz znajduje się w orbicie stołecznego życia. Pierwszorzędne wrażenie wywiera na cudzoziemcu nowoczesny hotel ,,Firdusi", nazwany imieniem najsławniejszego poety perskiego (ur. w r. 939, zm. w r. 1020). Zarówno w hotelu jak i w restauracji hotelowej --- służba polska, która to przedsiębiorstwo, jak i wiele innych, zeuropeizowała i podniosła znacznie frekwencję publiczności, szczególniej angielskiej. Większość tej służby to maturzystki polskie, które egzamin dojrzałości złożyły w Wilnie w okresie okupacji sowieckiej. I w innych zakładach gastronomicznych i przedsiębiorstwach pracują świeżo zaangażowani Polacy i na ich plus zapisać należy, że od czasu podjęcia przez nich powierzonych prac jakiś nowy duch wstąpił w progi tych przedsiębiorstw, co zresztą przyznają sami Persowie. Słowem — Polacy wnieśli dużo życia i swoim zapałem do pracy imponują nie tylko gospodarzom, ale i każdemu cudzoziemcowi, a przewyższyli też na pewno, pod względem gorliwości i szczerego zapału do pracy inicjatywę i pęd do pracy w którymkolwiek innym polskim ośrodku uchodźczym.

Między obozami polskimi a Teheranem kursują polskie autobusy. Linie autobusowe założył inż. Stefan Tyszkiewicz, który dysponuje 800 samochodami. Część wozów została zakupiona na miejscu, część zaś składa się z taboru, udzielonego Polakom przez rząd amerykański. 800 wozów to pozycja poważna, tym bardziej, że tabor jest pierwszorzędny.

W połowie maja w obozach pod Teheranem przebywało około 11,000 osób, w tym około 6,000 kobiet i blisko 3,500 dzieci, resztę stanowili mężczyźni, przeważnie w podeszłym wieku. Dla Polaków przeznaczone były jako obozy budynki fabryczne i namioty, m. in. dawna fabryka karabinów maszynowych.

Zasada obowiązująca każdego uchodźcę — to obowiązek pracy. Zresztą uchodźcy ci, którzy mają za sobą przeżycia zesłania, nie wyobrażają sobie innego sposobu spędzania czasu. Ci, którzy jeszcze zajęć stałych nie znaleźli --- pracują na miejscu. Każdy dostaje jakiś odcinek pracy, składającej się w sumie na całość zagadnień codziennego życia obozowego. Uchodźcy żadnych zasiłków, prócz małej kwoty na drobne wydatki, nie otrzymują. Śpią w obozach na ziemi --- łóżek nie ma. Każdy ma koc, na którym w nocy leży. Powoli przyzwyczajają się oni do klimatu. Przybyli z okolic, gdzie mróz dochodził do 60 st., a w Teheranie upały w miesiącach letnich dochodzą również do 60 st. Odżywienie wzorowane jest na racjach wojskowych.

Pierwsza akcja szła w kierunku sanitarnym. Przeprowadzono odwszenie. W obozach panowała epidemia tyfusu plamistego, dezynteria i odra u dzieci. Śmiertelność początkowa była b. duża, wiele osób po wyczerpaniu --- gdy przeszło odprężenie nerwowe --- umierało. Obecnie epidemie zostały opanowane.

Uchodźcy mają tam również sierociniec dla kilkuset dzieci. Specjalnie się je odżywia. W ogóle nad dziećmi roztoczona jest szczególnie czuła opieka. Pewna ilość dzieci wyjechała pod nadzorem znanej aktorki Hanki Ordonówny do Indyj ang., część dzieci umieszczona jest w klasztorze w Meszedzie. Poza tym na miejscu powstały samorzutnie szkoły polskie. Dzieci uczą się bez książek, których na razie brak, ale jakże pilnie się uczą! Mają tylko zeszyty. Szkoła mieści się w wielkiej hali fabrycznej. Dzieci siedzą na cegłach, rozłożonych dookoła dużej przestrzeni hali.*)

Rozwija się życie kulturalne. Urządzono szereg odczytów, wieczornic oraz obchód 3-majowy. Ochotniczki PSK obozu nr 2 urządziły piękną wieczornicę, opartą na polskich motywach ludowych. Podczas obchodu 3-majowego około 60 osób zemdlało ze wzruszenia. Jest to dowodem wyczerpania nerwowego.

Nasze ochotniczki PSK pracują z zapałem. W obozach dzięki im czynne są kuchnie, są opatrunki sanitarne, panuje czystość. Kobiety pełnią w obozach wiele funkcyj, m. in. służbę wartowniczą. Wielką ulgę dla pozbawionych bielizny uchodźców stanowić będzie fakt sprowadzenia do obozów 300 maszyn do szycia. Będą tam zatrudnione krawczynie, których jest na miejscu spora ilość.

Sympatie społeczeństwa perskiego są wielkie i okazywane na każdym kroku. Tam się objawia

*) „Wiarus Polski" podaje w nr z 5. VIII: „Grupy młodzieży polskiej przybyły z Iranu do Palestyny, gdzie będą kształcone w najpożyteczniejszych zawodach".

w całej pełni tradycyjna przyjaźń ludów Wschodu dla Polski. Chętnie zatrudniają Polaków, chętnie im pomagają. Żydowstwo perskie, choć nieliczne ale zamożne, daje pomoc na rzecz ogółu uchodźców.

Ta 11-tysięczna rzesza uchodźcza, która przybyła do Iranu, to kropla w morzu w porównaniu z tym, co zostało w Rosji. Jak długo ludzie siedzieli tam na miejscu i żyli z tego co otrzymywali w kołchozach, miejscach pracy itp. — wytrzymywali i czekali. Gdy jednak nadeszła wieść o układzie polsko-sowieckim, tysiące nie wytrwały i ruszyły na własną rękę. Te masy wyginęły.



Zagroda włościańska w Karaja, Veiran, na Średnim Wschodzie

Niezwykle ruchliwy jest »Teatr Żołnierza«, który dnia 2.V urządził w Teheranie »Polski wieczór artystyczny«. Szach perski zaprosił zespół teatru na występ dla powtórzenia tego samego programu w jego ogrodzie pałacowym. Książe Gloucester podczas swej bytności w Teheranie odebrał defiladę i dokonał przeglądu wojska polskiego w Dowchan Tappeh. Towarzyszyli mu gen. Boruta-Spiechowicz i płk J. Dusza rosła na widok tych zwartych szeregów wojskowych, budzących entuzjazm wśród Anglików i Persów, nie mówiąc już o zachwycie Polaków. *(y.)*

Z bojów 12. p. p.

Nawroty wspomnień

Jakże często przeżycia — jeśli są głębokie — nie umierają nawet pod pokładami czasu. Byle słowo nieostrożnie rzucone, fotografia nieopatrznie ciśnięta przed oczy, gra przypadku, nasuwająca jakieś odległe podobieństwa w twarzach czy postaciach — wystarczą niekiedy do nawrotu odległych — zagubionych zdawało się — wspomnień!

Tym razem wspomnienia opadły go na widok... szkicu.

— Skąd masz tę książkę?

Kolorowa okładka z szarą bibułą kilkudziesięciu stron tekstu *) znalazły się w jego drgających nagłym wzruszeniem rękach.

— To przecież szkic okolic Podsośniny Łukowskiej!

I oto oczy, bezbarwne i znudzone dotychczas oczy, zamigotały nagle ostrym, fosforyzującym światłem, odbijając całe piekło t a m t e g o Września.

Zapalił się. Urywane, płonące słowa wyprzedzały gesty, goniły jakieś odległe zjawy, szamotały się w najtajniejszych zakamarkach niedawnej rzeczywistości, przysłanianej dotąd starannie zdawkowym uśmiechem i nonszalancją „na codzień“ — szare „co dzień“ niemniej szarego internowania.

Rozpoczął opowiadanie, jakich wiele. Zwykłą historię z okresu, w którym pierwsze miażdżące fale nowego potopu rozlały się po naszej ziemi.

— Gdzieś w połowie września dywizja nasza dotarła do rejonu Podsośniny Łukowskiej, przebijając się w kierunku na Lwów. W ciągu 48 godzin bez przerwy trwała walka w tym rejonie. Żołnierz, który miał już za sobą około dwóch tygodni nieprzerwanego boju i upadał dosłownie ze znużenia i głodu — dokazywał tutaj cudów bohaterstwa, otwierając sobie bagnetem drogę na południe.

Ale nie o tym przecież miałem mówić.

Ta, coraz dalsza, przeszłość, gdy się jej przygląda z perspektywy czasu, urasta do heroicznego ogromu. A że historię naszą na ogół cechuje patos, przeto nabraliśmy pewnej specjalnej maniery mówienia o najświętszych nawet rzeczach z lekką domieszką cynizmu. Nie mogę sobie na ten zbytek pozwolić. Chciałbym możliwie ściśle odtworzyć pewien znamienny fragment z walki w okolicy Podsośniny Łukowskiej, która, sławna już z poprzedniej wojny światowej, stała się jeszcze raz w owym Wrześniu świadkiem dziwnej gry niespodzianek w walce. Niespodzianki na wojnie są rzeczą codzienną. Bez przesady można stwierdzić, że walkę wygrywa się lub też przegrywa w misternej grze niespodzianek. Niespodzianką dla nas były oddziały pancerne nieprzyjaciela, które, korzystając z porannej mgły, zajechały z całą bezczelnością w sam środek Podsośniny. Początkowo wydawało się, że to wraca własny oddział rozpoznawczy, który, o czym byliśmy uprzedzeni, działa na przedpolu. Przywrócił nas do rzeczywistości ogień naszych ckm'ów, pod które — na odległość 50 dosłownie metrów — podjechali Niemcy. Celowniczowie — bez komendy i rozkazu — podjęli walkę. Pierwsze samochody opancerzone stanęły w ogniu. Ale wypadki rozgrywały się szybko. Liczna piechota niemiecka wysypała z dalszych samochodów, które ziały teraz gradem ognia broni maszynowej. Gdy oprzytomnieliśmy, pozostało nam tyle czasu, ażeby się — z dość dużymi stratami — wycofać.

Byłem w tym czasie na punkcie obserwacyjnym dowódcy batalionu, jako jego zastępca, gdy doniesiono mi o sytuacji. Podchorąży, który pod moją nieobecność dowodził kompanią, a obecnie meldował mi o wycofaniu się jej z Podsośniny Łukowskiej, zapewniał, że o skutecznej walce nie było mowy. Tymczasem w Podsośninie Łukowskiej — grzmiało. Ktoś jej jednak bronił lub w jej kierunku nacierał. Łączność z dywizją, na której korzyść działaliśmy, jeszcze wciąż nie nawiązana (kabel stracono w poprzednich walkach; gońcy — na odległości 2,5 km — musieli wystarczyć za radio!), nie była w stanie zobrazować całokształtu sytuacji. Należało działać niezwłocznie,

Przekazałem batalion dowódcy działek przeciwpancernych, informując go pokrótce, co chcę uczy-

*) Kampferlebnisse aus dem Feldzug in Polen. Nach Schilderungen v. Frontkämpfern. 1942.

nić. Punkt ciężkości leżał we wsi, która drżała teraz od huku walki; należało się przekonać, co się tam dzieje.

Dostałem się do swoich ludzi. Przygnębieni zaskoczeniem, tłukli się bezradnie dookoła kilku rannych, których zdołali udźwigać z pola walki. Jako tako uporządkowałem oddział.

— Chłopcy, idziemy odbić Podsośninę Łukowską. Zaskoczymy nieprzyjaciela od strony lasu. Czterech ochotników na patrol — wystąp.

Chwila ciszy. Już zdawało się, że nikt ani nic nie wykrzesze z tych serc zapału, który zgasł bezpowrotnie. Ale w martwej ciszy, trwającej kilka zaledwie sekund, zachrzęściły czyjeś twarde trzy kroki. To mój obserwator --- kapral P. Za chwilę --- inny, jeszcze inny --- ze dwudziestu, na ogólny, około 50 ludzi, stan kompanii.

— Stać! Za dużo. Pierwszych czterech do mnie --- reszta wstąpić! Podchorąży, prowadzić kompanię zwarcie, w pełnej gotowości --- bagnet na broń --- w zupełnej ciszy --- 100 - 150 metrów za mną. Idę z czterema ochotnikami, jako patrol.

Posuwamy się w stronę wsi.

Od drzewa do drzewa, pistolet w ręce, co chwilę badam lornetką przedpole. Las rzednie --- czuć spaleniznę --- widać pierwsze palące się domy Podsośniny Łukowskiej. Walka zdaje się być nie dalej, jak o 200 m. Zdumiewa mnie fakt, że mimo tak bliskiej i gęstej strzelaniny --- żaden pocisk nas nie dochodzi. Jakże to możliwe? Nieprzyjaciel przyszedł od zachodu, my posuwamy się od wschodu...

Walka powinna chyba się toczyć w kierunku na południe lub na północ?

Dość jednak domysłów! Trzeba zobaczyć. Zostawiam swój patrol na 100 metrów przed skrajem lasu i, czołgając się, wychodzę na brzeg piaszczystej łachy, zasłaniającej w tej chwili najbliższy horyzont. Jeszcze jedna wydma, trochę sosen, krzak. Muszę się podnieść, ażeby zobaczyć, co się dzieje we wsi. Ledwie jednak się wychylam, suchy trzask pocisku rzuca mnie o ziemię. Krótka chwila --- były to sekundy --- ale nigdy jej nie zapomnę: na tle piaszczystej doliny ujrzałem długą, gęstą tyralierkę wroga. Znalazłem się idealnie na jej skrzydle. Prawoskrzydłowy żołnierz był oddalony ode mnie o 100 -- 150 m. On to właśnie strzelił, gdyż momentalnie po strzale poprawił postawę, przyjmując front na mnie.

Skoczyłem w tył --- do patrolu, później do kompanii.

Co się we mnie wówczas działo --- nie jestem w stanie opowiedzieć. To, o czym myślałem i marzyłem tyle razy, prowadząc oddział zwiadowców na ćwiczeniach lub manewrach --- zaskoczenie przy wykorzystaniu terenu --- mogłem oto zrealizować w praktyce, tym bardziej, że wszystko jakby się sprzysięgło, ażeby stworzyć idealne, wprost regulaminowe warunki dla takiego zaskoczenia. Byle działać szybko i byle wróg nie zabezpieczył się od strony, z której nadchodziliśmy.



Legenda: ...→o ooo *Niemcy w kolumnie marszowej*
Niemcy w natarciu i odwrocie
Polacy w natarciu i pościgu

Dochodzę do kompanii. Za chwilę słyszę jednak głosy komendy. To resztki pozostałych dwóch kompanij batalionu zmierzają ku nam w tyralierce. Padają głośne rozkazy: »moja drużyna naprzód«, »zwiększyć lukę dla ckm'u«...

Skoczyłem ku zbliżającym się, dając gwałtownie znakami do zrozumienia, ażeby umilkli. Podeszli już w ciszy. Zatrzymałem. Objąłem dowództwo nad całością.

— Chłopcy! Za tą wydmą, na polanie przed wsią — nieprzyjaciel.

Jesteśmy na jego skrzydle. Zaskoczymy go. Za nasze rodziny, poległych kolegów, za krew i pożary --- naprzód!

Drgało we mnie wszystko i kotłowało.

Wydarłem komuś karabin. Nieśmiało się sprzeciwiał. Dałem mu swój pistolet »wisa«.

Idziemy. Jest cisza.

Coś jakby przemieniło żołnierza. Ten brudny, zgarbiony — przeszło 500 km w nogach — zdawało się łachman, nie człowiek — teraz urósł, wzrok nabrał ognia, ręce pewniej chwyciły za broń.

Za chwilę skoczyłem na wzgórze, na którym przed kilku minutami otrzymałem strzał. W tym momencie usłyszałem za sobą okrzyk bojowy moich ludzi. Obejrzałem się. Nie wierzyłem własnym oczom. Słyszałem różne »hurra«, ale w tej burzy, która szła teraz od szeregów, było coś tak potężnego, że wróg, zaskoczony całkowicie, nie wytrzymał. Najbliższy żołnierz prawoskrzydłowy poderwał się do ucieczki. W chwili, kiedy podniósł nogę, by uczynić pierwszy

od Redakcji

W sprawie pomocy jeńcom polskim w Niemczech

Otrzymaliśmy od „Szwajcarskiej Pomocy dla Jeńców Polskich w Niemczech" następujące pismo:

„W chęci oddania usługi drogim internowanym polskim w Szwajcarii, których wielkoduszność w stosunku do ich biednych towarzyszów broni, znajdujących się w niemieckiej niewoli, zawsze podziwiamy, prosimy o zamieszczenie w Gońcu wyjaśnienia, że do tych jeńców nie możemy wysyłać innych paczek, jak tylko 5-kilowe paczki żywnościowe, zawierające biszkopty, czekoladę, konfitury, figi, sardynki, bulion, cukier, papierosy, tytoń itp. — w cenie 10 fr. za paczkę. (Konto czekowe III 12778). Prosimy równocześnie wyjaśnić, że do każdego zamówienia musi być dołączona nalepka; o jej przysłanie należy zwrócić się listownie do jeńca, któremu pragnie się wysłać paczkę. Jedynie w wypadkach, gdy Czytelnicy Gońca bezwzględnie nie mogą sami korespondować z jeńcem, możemy uczynić to w ich zastępstwie — na ich wyraźną prośbę.

W przeważnej części niemieckich obozów jeńców bony czerwone (odzieżowe) uprawniają również do przysyłki i odbioru przez jeńca paczki żywnościowej.“

* * *

W Redakcji jest do odebrania list z Krakowa od Zofii Stynacewicz (?) do Tomka i Wandeczek (w Genewie?), nadesłany na ręce T. Kozłowskiego; adresata nie można było na razie ustalić.

krok — strzeliłem. Dostał w czaszkę, hełm potoczył się po ziemi, w którą runęła twarzą pierwsza nasza ofiara tego natarcia.

Strzelając, parliśmy ciągle naprzód. Byle szybciej, byle dopaść. Wróg ostrzeliwuje się gęsto, choć niecelnie. Mają dużo broni maszynowej. Znać dowódców po ruchach rąk. Każę ich brać na cel.

Jeszcze szybciej do przodu! Dopaść przeciwnika. Nie pozwolić mu się zorganizować, gdyż — mając ogromną przewagę w broni maszynowej i ludziach — łatwo może dać sobie z nami radę. Zwłaszcza, że przecież mieliśmy do czynienia z żołnierzem, który walczył uparcie i bez pardonu.

Kołujemy wieś. W lewo od niej, na polu, ludzie oglądają nasze natarcie, jak w teatrze. Przy końcu wsi widać rząd samochodów. Do nich kieruje się nieprzyjaciel. Za wszelką cenę nie dać mu uciec!

Jeszcze szybciej naprzód!

Nie zdążyli. Muszą zawrócić na otwartą równinę, lekko wznoszącą się w kierunku ode wsi. Żadnej fałdy terenowej ani krzaczka na osłonę!

To już nie walka, to rzeź.

Mijam opancerzone samochody. Zabieram pistolet parabellum i mapy, doskonałe setki, których przecież tak dawno nie oglądałem, i dalej! Wróg topnieje w oczach. Dowódcy usiłują zorganizować odwrót. W pewnym momencie widzę, jak oficer strzela z pistoletu do własnego żołnierza, który podrywa się do ucieczki. Biorę na cel dowódcę — strzelam. Pada. Gonię. Podrywa się i biegnie. Znowu daję ognia. Ta sama historia. Dopiero za trzecim razem trafiam.

Zaczynają grać nasze c.k.m. Dopiero nadążyły za nami. I natychmiast rozpoczęły swój koszący ogień — śmiała decyzja! — ponad naszymi głowami do defilujących w odległości 200 -- 300 m kilkudziesięciu kolarzy, z których żaden nie uszedł z życiem. Walka już jednak dogorywa. Nieprzyjaciel rozproszony. Mamy 17 jeńców, w tym jednego porucznika. Kilku mówi znakomicie po polsku: Niemcy ze Śląska polskiego. Pytam, z jakiej są jednostki. Okazuje się — z oddziału rozpoznawczego. Liczył on 320 ludzi, 32 samochody, 70 kolarzy i 20 motocyklistów.

Patrzę poza siebie.

Cała przestrzeń od Podsośniny Łukowskiej zasiana trupami. Rannych niewiele. Własne straty nieduże.

Daję rozkaz uporządkowania oddziałów.

Dopiero wówczas przekonuję się, że to nasza 3 kompania, uderzając na Podsośninę, związała nieprzyjaciela, umożliwiając, niechcący, zgotowanie jeszcze jednej niespodzianki tego dnia — naszego zaskoczenia.

* * *

Opowiadanie skończone. Ale oczy jego autora płoną. Czerwienią zachodu, który tłoczy się w okno, czy przeżyciami tamtych dni września?

M. Miż.

Ankieta „Krytykujmy Gońca"

Ankieta ta, do której taką przywiązywaliśmy wagę, nie dała jak dotychczas spodziewanych wyników. 12 prac, jakie wpłynęły do dn. 9. IX, aczkolwiek przyniosły sporo ciekawych uwag, nie są wystarczające do wyciągania ogólniejszych wniosków. Aby tedy dać możność wypowiedzenia się naszym Czytelnikom — przy czym podkreślamy, że chodzi nam raczej o głosy krytyczne i życzenia, które by mogły się przyczynić do dalszego podniesienia poziomu pisma — **PRZEDŁUŻAMY TERMIN ODPOWIEDZI na ANKIETĘ do 1 LISTOPADA br.**

WIEDZA O WOJNIE

Indie — perła



Żołnierz hinduski

Ostatnie wypadki, które rozgrywały się w Indiach, zwracają nasze oczy w tym kierunku. Propozycje rządu brytyjskiego, postawione w jego imieniu politykom indyjskim przez Crippsa, nie zostały przyjęte, a Ghandi, wódz duchowy znacznej części Hindusów, rozpoczął akcję zmierzającą do zażądania od Anglików całkowitego opuszczenia kraju, pod groźbą biernego oporu przeciwko wszystkim zarządzeniom władz, strajku kolejowego, niekupowania towarów angielskich itd. Nie mogło to skończyć się inaczej, jak się skończyło. Przywódcy hinduscy z Ghandim i Nehru na czele znaleźli się w więzieniu, a partia ich, tzw. Wszechindyjski Kongres Narodowy, została wszędzie rozwiązana.

Na indyjski ruch wolnościowy wzgl. narodowy nie możemy patrzeć oczyma europejskimi. Indie bowiem — jako jedność polityczna czy narodowa — nie istnieją.

Bo Indie to 388 milionów ludności, która skupia się czy to na podstawie przynależności religijnej, czy rasowej, czy wreszcie kastowej. Przypomnieć musimy, że kastami nazywają się w Indiach ściśle odgraniczone warstwy ludności, nie utrzymujące ze sobą żadnych stosunków, w których przejście z jednej do drugiej jest niemożliwe, gdzie cień niższego kastą człowieka brudzi człowieka z wyższej kasty. A kast tych jest niezliczona ilość od najniższych tzw. pariasów do najwyższej braminów czyli kapłanów i uczonych, którzy mają monopol na najbardziej wpływowe zawody i stanowiska.

Tych 388 milionów ludzi to w 88 procentach analfabeci, to ludzie mówiący 225 różnymi językami, nie licząc gwar, a poza 11 prowincjami Indyj brytyjskich tworzący 560 mniejszych i większych indyjskich państewek, rządzonych samodzielnie przez własnych władców.

Najważniejsze przeciwieństwa, które grają rolę w indyjskiej polityce wewnętrznej, są natury religijnej.

W Indiach jest 239 milionów hinduistów, których cały system społeczny polega na owej kastowości, i 78 milionów muzułmanów, którzy tych różnic między ludźmi nie uznają. Do tego dochodzi 12 milionów buddystów, 7 milionów chrześcijan, 4 miliony Sikh'ów i szereg innych drobnych wyznań.

W tym stanie rzeczy, nawet te największe partie polityczne, a więc Wszechindyjski Kongres Narodowy, Liga Muzułmańska, Mahasba Hinduska, Izba Książęca, nawet Związek Pariasów, nie są partiami politycznymi w nam znanym znaczeniu. Żadna z tych partji nie powstała tak jak nasze partie polityczne i nie jest oparta o swych wyborców i zwolenni-



Zaprzęg

rony angielskiej

ków jak u nas. Reprezentują one nie więcej jak myśli polityczne stosunkowo nieznacznej ilości wykształconych Hindusów, wychowanych przeważnie w Europie.

Dochodzą do tego zasadnicze różnice między dwiema największymi partiami. Kongres chciałby widzieć jedno państwo indyjskie na demokratyczno-narodowych zasadach zbudowane. Liga Muzułmańska, która obawia się, że w tym państwie prawa muzułmanów, jako znacznej mniejszości, nie byłyby respektowane --- chce mieć Indie podzielone na dwie części: na państwo muzułmańskie (t. zw. Pakistan) i hinduskie. I trzeba powiedzieć, że tak jeden jak i drugi plan jest równie trudny do wykonania.

Brak wspólnego pomostu między zapatrywaniami tych dwóch największych partyj jest powodem, dla którego rozpoczęte z początkiem obecnego stulecia angielskie prace reformacyjne napotykają na tak wielkie trudności.

Nie trzeba bowiem sądzić, że te reformy, które powoli od r. 1909 otrzymują Indie, są reformami wydartymi przez Hindusów na Anglikach. Wprost przeciwnie --- od 40 lat celem Anglii, nie tylko w Indiach lecz w całym jej imperium, jest wprowadzenie coraz większej samodzielności administracyjnej a wreszcie politycznej i to nadaje tak znamienną cechę nowoczesnemu imperium brytyjskiemu jako wolnemu związkowi narodów. Bo przecież Anglicy nie przyszli do Indyj jako zdobywcy, lecz w pierwszym rzędzie jako kupcy i --- mimo częstego używania siły --- pozostali nie władcami podbitego narodu, lecz administratorami.

Myśl rządzenia nie bezpośredniego jest od wczesnych czasów myślą polityczną imperium brytyjskiego. I w składzie obecnego imperium znajdujemy wszystkie formy rządzenia, które z tej myśli się wyłoniły, począwszy od dominiów jak Kanada, które związane są tylko osobą króla angielskiego, skończywszy na zwykłych koloniach, nie posiadających jeszcze własnych praw rządzenia.

Reformy zapoczątkowane w r. 1909 doprowadziły w 1919 r. do stworzenia w 11 prowincjach wybieralnych parlamentów oraz wspólnego dla całych Indyj parlamentu, złożonego z dwóch izb. W 1935 stworzono rządy prowincjonalne i przewidziano również utworzenie jakby związkowego rządu centralnego, podobnie jak w Szwajcarii; nie doszedł on jednak do skutku z powodu tego, że partie nie mogły się pogodzić. A rząd ten miał wziąć w swoje ręce wszystkie sprawy indyjskie z wyjątkiem obrony kraju i spraw zagranicznych, które Anglia chciała pozostawić w swoich rękach.



gry w Indiach

Widzimy więc, że plan przedstawiony Hindusom w imieniu rządu brytyjskiego przez Crippsa, nie był żadnym skokiem w indyjskiej polityce angielskiej. Projekt ten był dalszym ciągiem tej polityki, którą rząd angielski prowadzi bez przerwy od lat dziesiątek. I polityce tej przyświeca nadal ten sam cel: dania Indiom samodzielności, czy to w formie kilku państw, czy wreszcie --- co jednak wydaje się niemożliwym --- w formie jednego państwa.

Zrozumiemy więc teraz, że w tym stanie rzeczy Anglia nie mogła się żadną miarą zgodzić na plany Ghandiego i jego uczniów, nie mające realnych podstaw politycznych, a nawet godzące się na paktowanie z obecnym wrogiem angielskim, Japonią. I można mieć nadzieję, że i tym razem zdołają Anglicy opanować sytuację w tym kraju, nie zarzucając samej myśli dania Indiom samodzielności w odpowiedniej do tego chwili, bez wstrząsu wewnętrznego, tak, jak to Stany Zjednoczone uczyniły w stosunku do wysp Filipińskich, gdy uznały je za zdolne do samodzielnego życia państwowego.

Świat w ogniu

(Za czas od 21. VIII — 5. IX)

W dniu 1 września rozpoczął się czwarty rok obecnej wojny światowej, więc podajemy parę uwag na temat tej rocznicy.

Ubiegły rok zmagań zbrojnych nie przyniósł rozstrzygnięcia na korzyść żadnej ze stron, natomiast wywołał znaczne rozszerzenie się pożogi wojennej, wskutek udziału Japonii, Stanów Zjednocz. A. P., a ostatnio i Brazylii (nie licząc szeregu mniejszych państw amerykańskich). W ten sposób jednak — pomimo tegorocznych postępów niemieckich i zdobyczy japońskich — potencjał wojenny (czyli ogólna suma sił tak bojowych jak gospodarczych) wzrósł wyraźnie po stronie zjednoczonych narodów. Wprawdzie ich zaczepna postawa zarysowuje się wyraźnie na razie tylko w Chinach i na oceanie Spokojnym, niemniej jednak przystąpienie Brazylii do wojny znacznie poprawia sytuację strategiczną Sprzymierzomych także na Atlantyku.

F r o n t w s c h o d n i. Bitwa o Stalingrad między Wołgą a Donem szaleje z nieprzerwaną mocą. Według oceny sowieckiej walczy tam więcej niż milion Niemców i ich s p r z y m i e r z e ń c ó w, wspartych przez wiele dywizyj pancernych i potężne lotnictwo. Mimo zaciętej obrony obcęgi niemieckie zaciskają się coraz bliżej miasta. Dla odciążenia tego odcinka prowadzą Rosjanie już od połowy sierpnia kontrofensywę na zachód od Moskwy, na przestrzeni Rżew - Gżatsk - Wiaźma, co jednak mimo pewnych postępów nie wywarło większego skutku. W obszarze kaukaskim Niemcy posuwają się w dwu kierunkach. Odrzuciwszy Rosjan znad rz. Kubań, nacierają obecnie wraz z Rumunami na czarnomorski port wojenny Noworossijsk. Dalej zaś na płd. wschód. prą wzdłuż Kaukazu na rejon naftowy m. Groznyj, jednak zostali powstrzymani nad rz. Terek, który udało im się na razie przekroczyć tylko w jednym miejscu.



Ghandi w naszej karykaturze

F r o n t e g i p s k i. Marsz. Rómmel rozpoczął 31 sierpnia działania zaczepne, które jednak nie rozwinęły się w wielką ofensywę.

Widownia dalekowschodnia. Wbrew doniesieniom japońskim o wielkim zwycięstwie w okolicy wysp Salomońskich, wojska amerykańskie zdobyły sześć ważnych wysp i utrzymały je mimo wszelkich wysiłków przeciwnika, zadając mu ciężkie straty w ludziach, okrętach i samolotach. Również Chińczycy prowadzą z powodzeniem ofensywę w prowincji Kiangsi i Czekiang, zagrażając bezpośrednio ważnym miastom Nanczang, Kinhwa oraz Kanton, z których np. to pierwsze znajduje się już od paru lat w rękach japońskich.

Widownia zachodnia. W ciągu zeszłego miesiąca lotnictwo brytyjskie, wspomagane coraz więcej przez amerykańskie, dokonało sporo większych nalotów na zachodnie Niemcy. M. in. zbombardowano silnie Hamburg, Flensburg, Moguncję, Saarbrücken, Osnabrück, Frankfurt n/M., Norymbergę, Karlsruhe i Bremę.

Równocześnie z działaniami lądowymi i powietrznymi trwa nieubłaganie i nieprzerwanie bitwa o Atlantyk z ogromnym wysiłkiem i znacznymi ofiarami obu stron. Brytyjski lord admiralicji Aleksander oświadczył, że w lipcu i sierpniu zatopiono najwięcej nieprzyjacielskich łodzi podwodnych, dzięki nowym sposobom walki.

Dowództwo R.A.F. ogłosiło, że za 3 lata wojny straty brytyjskie wyniosły 6231 samolotów, podczas gdy strącono 8985 maszyn nieprzyjacielskich.

Poszukujemy dodatków!

W sobotę 26 września
przeszukujemy wszystkie kieszenie, szafy, szuflady
i zbieramy
wszystkie dodatki literackie „Gońca Obozowego"!

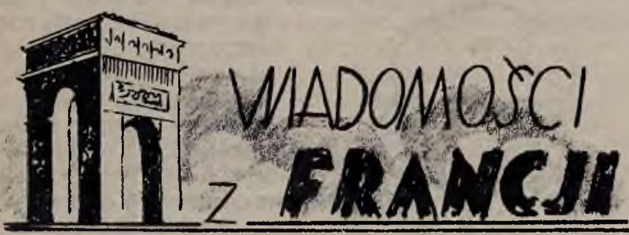
Redakcji brakują przede wszystkim dodatki nr 1 (Bitwa narodów), nr 3 (Ksiądz Piotr), oraz trzy ostatnie (Grunwald i następne), których napływ zmalał.

Prosimy wszystkich oficerów oświatowych o pomoc w przeprowadzeniu tej akcji w obozach. Pracujący samotnie proszeni są o wysłanie dodatków w kopercie pod adresem Redakcji!

Spieszymy z pomocą

Na rzecz jeńców w Niemczech wpłaciły obozy: Dättwil fr. 110.20 z okazji Święta Żołnierza; Junkerschloss fr. 85.50, Olsberg fr. 86.70, Tenniken fr. 44.80, Wittnau fr. 22.50 z okazji imienin dowódcy M. p. s. p. ppułk. K.; fr. 10.— jako zwrot długu ppor. Przedrzymirskiego kolegom z I/2 W. p. a. l. wobec niemożności przekazania im; żołnierze O. R. i I/4 W. p. s. p. 400.— fr. otrzymanych od gminy Sementina za pełny poświęcenia udział w akcji ratunkowej w czasie pożaru; plutony 3/4 W. p. s. p. Vals-Platz fr. 32.90.

Na rzecz dzieci serbskich, przebywających na koloniach w kantonie Ticino: żołnierze tego odcinka fr. 400.— opodatkowując się w dalszym ciągu na ten cel kwotą fr 300.— miesięcznie.



— Przed wypadem Sprzymierzonych na Dieppe brytyjskie radio wezwało ludność francuskiego wybrzeża do wstrzymania się od jakichkolwiek działań na korzyść zagończyków, ogłaszając, że tym razem wylądowanie angielskich oddziałów na ziemi francuskiej nie będzie jeszcze inwazją, lecz zbrojnym rozpoznaniem i wypadem próbnym; ludność nie powinna więc narażać się niepotrzebnie na odwet Niemców.

Stosownie do tego zachowanie się ludności francuskiej było nacechowane zaleconą powściągliwością. Niemieckie dowództwo, dając wyraz swemu zadowoleniu z tego powodu, przyznało 10 milionów fr. odszkodowania dla mieszkańców Dieppe za straty poniesione w czasie boju.

P. Laval, a również marsz. Pétain przesłali niemieckiemu dowództwu gratulacje z powodu udanej obrony i szybkiego oczyszczenia ziemi francuskiej.

— Francuscy uczestnicy pierwszej i drugiej wielkiej wojny utworzyli wspólny Związek Byłych Kombatantów, z którego wyłonił się »Service d'Ordre de la Legion« (S.O.L.), stanowiący wyborowe oddziały stojące na usługach »narodowej rewolucji«, kierowanej przez marsz. Pétain.

Z organizacji o charakterze wojskowym, które są kierowane przez rząd w Vichy, należy wymienić jeszcze »Legion tricolore« (walczący obecnie w niemieckich mundurach z francuskimi odznakami przeciw bolszewikom w Rosji) i »Chantiers de la Jeunesse«, stanowiący organizację narodowej służby pracy, do której są wcielani obowiązkowo wszyscy 20-letni mężczyźni, o ile nie należą jeszcze do innych oddziałów pracy lub do »Legion tricolore«,

— Niemcy zażądali od Francji 150 tys. wyszkolonych pracowników z różnych działów przemysłu, obiecując w zamian za 3 specjalistów zwolnić z niewoli 1 jeńca. Dnia 11. VIII nastąpiła w Compiègne pierwsza taka wymiana, obejmująca około 1000 wykwalifikowanych robotników i około 350 jeńców. Dało to powód do wielkiej uroczystości.

— Prasa paryska ogłosiła niemiecki urzędowy komunikat, zawiadamiający, że w ostatnich dniach rozstrzelano znowu 93 zakładników francuskich w odwet za dokonane zamachy.



Gen. de Gaulle w ameryk. karykaturze

— Trudności gospodarcze Francji dotyczą w dalszym ciągu głównie — poza brakiem surowców — niedoboru rąk roboczych i środków transportu.

Rząd w Vichy rozważa możliwości powołania do sezonowych prac w rolnictwie młodzieży od 17 do 21 i niezaślubionych od 21 do 46 roku życia.

Zarząd kolei wezwał ludność, aby swoje przejazdy ograniczyła do najniezbędniejszych potrzeb. Towary są przyjmowane do przewozu kolejami dopiero przy odległościach ponad 30 km. Pozostaje to niewątpliwie w związku ze zwiększonym zapotrzebowaniem sprzętu kolejowego przez władze okupacyjne.

— Do walki z nielegalnym handlem i z podbijaniem cen przez »czarny rynek« został powołany nowy urząd, »Service General de Contrôle Economique«, przy czym kary za tego rodzaju wykroczenia zostały podwyższone ze 100 tys. do 2 milionów fr, oraz z 2 do 5 lat więzienia.

NASZE SPRAWY

— Jak donosi »Wiarus Polski« z 12. VIII, z Krakowa nadchodzi wiadomość o zgonie sławnego artysty-malarza Wojciecha Kossaka. Zmarły liczył 87 lat. Znane są jego obrazy batalistyczne, zwłaszcza panorama racławicka we Lwowie, Berezyna, bitwa pod Grochowem i wiele innych. Tuż przed wojną przystąpił on do malowania wielkiej panoramy z powstania listopadowego 1830-31; przerwa w pracy jego i śmierć jest więc dla sztuki polskiej stratą niepowetowaną.

— W nocy na 19. VIII sowieckie lotnictwo bombardowało Gdańsk, Królewiec oraz Tylżę. W Gdańsku w obrębie portu powstały rozległe pożary oraz gwałtowne wybuchy, poza tym doszło do szeregu wybuchów w zakładach chemicznych, położonych w innej części miasta. W nocy na 21. VIII wiele set bombowców sowieckich bombardowało okręg przemysłowy Górnego Śląska, okolice Poznania, dworce kolejowe w Warszawie i in. miejscowości w Polsce.

— Niemiecka prasa w Gdańsku w sposób rzucający się w oczy podaje wyrok, skazujący na śmierć robotników rolnych, Kazimierza Denderskiego i Brunona Topolskiego za kradzież i zjedzenie kury u niemieckiego chłopa. Taka oto jest cena życia ludzkiego.

— W wypadzie na Dieppe brał udział także jeden polski kontrtorpedowiec. W walkach lotniczych, jakie się wywiązały podczas tej akcji, wzięli wybitny udział także lotnicy polscy, którzy zestrzelili co najmniej 17 maszyn niemieckich, przy czym stracili tylko 3 samoloty myśliwskie.

— NZZ z 28. VII podaje w nr 1191 w komunikacie sowieckim nast. wiadomość: Pociąg, wiozący niemieckie oddziały z Francji na rosyjski front, uległ katastrofie w pobliżu jednej z polskich stacyj. Setki żołnierzy zginęło przy tym lub zostało rannych. Pociąg prawdopodobnie wjechał na minę, założoną przez polskich powstańców.

— Na południowej Ukrainie odczuwa się b. dotkliwie brak koni. Po zajęciu tych obszarów przez wojska niemieckie liczono w niektórych okręgach zaledwie 2 konie na każde 100 ha. W przeciwieństwie do tego Wołyń jest dostatecznie nasycony końmi: 15 koni na 100 ha. Aby tę różnicę wyrównać, wydział wyżywienia i gospodarki rolnej przy komisariacie Rzeszy zakupił na Wołyniu 12,000 koni celem przesunięcia ich na tereny, pozbawione siły pociągowej.



Krzyż polny z okolic Kielc

— »Ostdeutscher Beobachter« donosi, że wyrokiem sądu krajowego w Poznaniu robotnicy rolni Antoni Jankowski i Ludwik Przestecki z »Orpingen« (?) pow. Jarocin zostali skazani na śmierć przez powieszenie za dostarczenie odzieży jeńcowi sowieckiemu, który zbiegł z obozu. Wyrok został wykonany w miejscu zamieszkania skazanych.

— Wg »La Liberté« z 18. VIII gen. Sikorski oświadczył, że wszystkie dywizje polskie w Sowietach zostaną wycofane na Średni Wschód. Dowódcami tych dywizyj są m. in. gen. Tokarzewski i gen. Rakowski.

— Józ. Ślesz. pisze w liście z Warszawy z dn. 15. V br.: »Domek Słowackiego (w Krzemieńcu) w porządku, zarządza dalej Kryński. Natomiast bibliotekę licealną już bolszewicy przetrzebili mocno. Spalono dużo druków, uznanych jako literatura antykomunistyczna. Obecnie zarząd biblioteki jest w rękach jakichś Ukraińców. Paki z eksponatami z Wystawy Słowackiego były w całości, jakoś uszły uwagi bolszewików«.

— »Basler Nachr.« z 28. VII podaje oświadczenie min. Stan. Mikołajczyka z Londynu o stanie rzeczy w kraju, gdzie od chwili zajęcia go przez Niemców rozstrzelano lub powieszono około ćwierć miliona Polaków, gdyż chce się stłumić umysłowe życie kraju i usunąć wszelki opór. 50,000 Polaków zmarło w obozach koncentracyjnych, 200,000 Żydów zostało straconych. Sam gubernator Frank przyznał, że obecnie oddał do rozporządzenia Rzeszy 800,000 robotników polskich. Dalej władze okupacyjne przesiedliły z zachodnich naszych dzielnic do środkowej Polski około półtora miliona chłopów, robotników, mieszczan i rzemieślników, gdzie oni muszą bez zapłaty pracować w »Baudienst« przy budowie dróg i fortyfikacyj. Od listopada ub. r. stracono 138,000 Polaków... Cały polski przemysł, nie obsługujący niemieckiej maszyny wojennej, został zamknięty lub też musiał zawiesić pracę ze względu na brak surowców.

— Walasiewiczówna, albo inaczej: Stella Walsh, biorąca tak czynny udział w życiu sportowym i posiadaczka rekordu olimpijskiego, przyjęła wreszcie obywatelstwo USA i mimo swych lat 31 zdobyła w zawodach kobiecych mistrzostwo w biegu na 200 m, w skoku w dal oraz w rzucie dyskiem.

— »Gaz. de Lausanne« z 25. VII doniosła o Międzynarodowej Konferencji Rolniczej, jaka zgromadziła w Londynie przedstawicieli krajów bałkańskich, Polski i Czechosłowacji. Nasz kraj reprezentował na tych naradach min. St. Mikołajczyk. Wysunięte zostało m. in. hasło »ziemia dla chłopów« oraz wywłaszczenie wielkiej własności rolnej.

— Polska Rada Narodowa w Londynie powzięła (jak donoszą Basl. Nach. z 10. VII) uchwałę, wzywającą rządy państw sprzymierzonych, zwłaszcza angielski i amerykański, do zastosowania środków odwetowych na Niemcach w odwecie za masowe mordy, dokonane na Polakach. »Winny być one karane z całą surowością prawa i odpowiedzialni za nie mają być postawieni przed sąd i ukarani jako pospolici mordercy«.

— Polska nielegalna prasa na terenach okupowanych uchodzi za najlepiej zorganizowaną. Do Londynu nadeszły egzemplarze 120 różnych wydawnictw, oczywiście także drogą nielegalną.

— Z okazji »Święta Żołnierza« gen. Sikorski wygłosił wobec Rady Narodowej w Londynie przemówienie, w którym wyraził przypuszczenie, że Niemcy, po osiągnięciu wybitnych powodzeń na froncie wschodnim zwrócą się na jesieni z propozycją pokoju kompromisowego, zanim nastąpi czwarta — najniebezpieczniejsza — zima wojenna. Propozycja ta jednak stanowczo zostanie odrzucona przez narody sprzymierzone.



Z ŻYCIA OBOZÓW

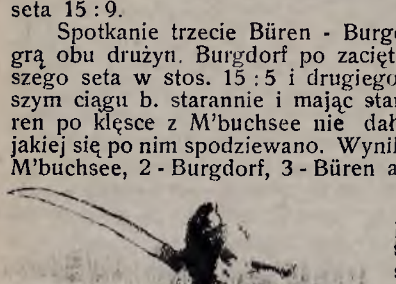
Tak więc inicjatywa redakcyjna ściągnęła na nas potop korespondencyj z najrozmaitszych obozów. Tym się tłumaczy zwłoka w ich zamieszczeniu, a także nieuniknione skróty, które — mamy nadzieję — autorzy zechcą nam wybaczyć. Ogromna większość sprawozdań napisana jest z polotem i stanowi nie tylko ciekawą lekturę, lecz jest przede wszystkim nieprzemijającym dokumentem naszego tu życia i naszej pracy. Bo o to nam głównie chodzi. Wybija się też na pierwszy plan stwierdzenie, że nasz tu pobyt nie poszedł na marne i nie tylko pracujemy w ogromnej większości nad sobą, lecz i pracujemy na rzecz kraju, który nas przygarnął i umożliwia nam przetrwanie aż do lepszych czasów.

MÜNCHENBUCHSEE. — W niedzielę 23. VIII został tutaj rozegrany trójmecz siatkówki między drużynami Büren a/A - Burgdorf - M'buchsee. YMCA przeznaczyła dla zwycięzcy trójmeczu nagrodę pieniężną w kwocie 30 fr.

Przed rozpoczęciem zawodów sierż. pdch. F. w imieniu drużyny wystąpił do drużyn przyjezdnych z wnioskiem, ażeby zwycięska drużyna przeznaczyła nagrodę na rzecz jeńców polskich w Niemczech. Koledzy z Büren i z Burgdorfu bez wahania wyrazili swą zgodę. Do zebranych drużyn przemówił ppor. K., witając przyjezdnych kolegów i dziękując za dar na jeńców. Po wylosowaniu przystąpiono do rozgrywek. Na pierwszy ogień: Burgdorf - M'buchsee. Zaraz z początku gry widać było, że obie drużyny chcą dać ze siebie wszystko, ażeby tylko rozstrzygnąć spotkanie na swoją korzyść. Niebawem zaczęła się zaznaczać przewaga gospodarzy, którym szczęściło się już do końca. Trzeba przyznać kolegom z Burgdorfu, że mieli pecha w serwowaniu i dzięki temu stracili dużo piłek. Wygrało M'buchsee w stosunku 15 : 2, 15 : 5.

Spotkanie drugie Büren - M'buchsee zaczęło się pod znakiem przewagi bürenczyków, lecz ta trwała krótko. Gospodarze zaraz „przyszli do siebie" i zaczęli zdobywać prowadzenie. Bürenczycy speszeni trochę odpornością gospodarzy załamali się, przegrywając seta 15 : 5. W drugim secie bürenczycy wzięli się do „roboty", zdobywając zaraz z początku szereg punktów — bo aż 8, gospodarze jednak przeszli do kontrataku, wygrywając i drugiego seta 15 : 9.

Spotkanie trzecie Büren - Burgdorf zaczęło się ładną grą obu drużyn. Burgdorf po zaciętej grze wygrał pierwszego seta w stos. 15 : 5 i drugiego 15 : 2, grając w dalszym ciągu b. starannie i mając stanowczą przewagę. Büren po klęsce z M'buchsee nie dał z siebie takiej gry, jakiej się po nim spodziewano. Wynik trójmeczu: 1 - miejsce M'buchsee, 2 - Burgdorf, 3 - Büren a/A.



W drodze do pracy

Po zawodach zaproszono gości do świetlicy, gdzie komitet świetlicowy przyjął ich skromnymi „darami bożymi", przygotowanymi zawczasu. Resztę pobytu w naszym obozie spędzono na koleżeńskiej pogawędce, po czym goście, żegnani przez „tubylców", rozjechali się do swych obozów. *A. P.*

* *
*

Koniec sierpnia w naszym obozie obfitował w różne imprezy. Tak więc 25. VIII bawił sekretarz YMCA, który mówił o obozach jenieckich w Rzeszy, uzupełniając to wyświetlaniem przezroczy. Kiedy się widziało obdarte, wymizerowane postacie jeńców sowieckich, lub wysoko w górach namioty Jugosłowian, kiedy pokazano baszty strażnicze i druty kolczaste — trzeba było myśleć o swej doli i dziękować Bogu, że jest tak a nie inaczej... Żałowaliśmy jednakże, że spośród tylu scen raz tylko przelotnie ujrzeliśmy drogie nam sylwetki w rogatywkach: to nasi koledzy, ci „wrześniowi"...

Następnego dnia pojechaliśmy hurmem do Burgdorfu, gdzie miała występować „Maryna". „Zapowiadaczem" i częściowo współaktorem był por. Nid., na harmonii grał kol. On. Muzyka to potężne narzędzie oddziaływania na słuchaczy, trafiające bezpośrednio każdemu do serca, dlatego też byłem cokolwiek zdziwiony, gdy pod pozorem „romansów" nasz sympatyczny muzyk uraczył nas porcją oryginalnych, przedwojenych jeszcze rosyjskich melodyj. A wiadomo przecież, że polska muzyka, zwłaszcza ludowa, obfituje w tak piękne nuty. „Maryna" sprezentowała nam kilka groteskowych obrazków, zaczerpniętych głównie z życia internowanych. Wydaje mi się jednak, że nie należy myśleć t y l k o o wzbudzeniu humoru na sali, aczkolwiek zgadzamy się wszyscy, że humor to zdrowie. Należy oddziaływać na podniesienie poziomu zainteresowań i przemycać tu i ówdzie coś głębszego, chociażby przybranego w listki humoru. Parę obrazków poważniejszych czy nastrojowych przerwałoby pewnego rodzaju jednostajność przedstawienia i siłą konstrastu podkreśliłoby groteskę pozostałych. Większość widzów była zgodna, że „Maryna" większy nacisk powinna położyć na część taneczną, w której przecież celuje. Z całym tedy uznaniem dla pracy i zasług „Maryny", życzylibyśmy jej, by zbliżający się 50. występ stał rzeczywiście na poziomie, jaki chcielibyśmy widzieć nawet w szczególnych warunkach internowania. *w. w.*

FEHRALTORF. — Skoro tylko śniegi stopniały i ostatnia kropelka wsiąkła w ziemię, wyległo bractwo z baraków, jak pszczoły z ula. Nie pomogły okrzyki zawodowych karciarzy: „Czwarty do brydża", „jeden do kalibraków", albo „kto gra w jeden dwadzieścia?"! Karty przestały nagle odgrywać jakąkolwiek rolę. Raptem jak orkan w pogodny dzień wpadł do obozu szef. Jest to jegomość mały wzrostem, lecz wielki zaletami. Takiego „OPR'u" nie potrafi żadna inna osoba, nosząca polski mundur, uskutecznić, jak właśnie on. Skoro taki orkan przejdzie przez obóz, można śmiało w białych rękawiczkach dotykać się wszystkiego. Że za ostatnim barakiem w ogromnej kupie błędne cienie internowanych szukają potem długo swych niewyczyszczonych „na glanc" rzeczy — to już inna para kaloszy. Otóż właśnie szef począł na wiosnę — dzielić. Ludzie sie tłoczyli: „Panie szefie, ja chcę do bambra!", "Ja tam, ja tu!" A on nic, tylko z karteczką w dłoni słodziutko pytał; „Z cywila czem?" I nie pomogły żadne prośby, każdy w miarę zdolności otrzymał pracę. Jedni do sadzenia grochu itp. truskawek, inni do „straży pożarnej", czyli do zlewania kartofli jakimiś chemikaliami, do zalewania się potem własnym i cudzym kirszem a moszczem.

Dzięki wrogiemu nastawieniu gminy otrzymało to bractwo do uprawy 8 ha ziemi. Piszę „wrogiemu", bo bez tych hektarów bylibyśmy opalali swe grzeszne zwłoki na słońcu, a tak musowo trzeba było robić. I skoro zaczęła się praca, na jaw wylazł potworny stan zdrowotny obozu. Przed izbą chorych — ogonki! A więc reumatyzmy, sklerozy, żylaki, odciski... Nasz kochany doktór W. z niezmąconym spokojem wysłuchiwał tych strasznych żalów, badał, pukał i dawał, ale tylko... rycynę. Pomogło. Stał się cud i wszystko nagle ozdrowiało.

Pod hasłem „być albo nie być" (w kryminale) rozpoczęto pracę. Dziś po czterech miesiącach mamy się czym pochwalić. Ogromne pola ziemniaków, pełne grządki marchwi, pietruszki, grochu, cebuli i in. witamin rosną ku naszej radości a podziwowi Szwajcarów. W samym obozie też zaszły duże zmiany, w związku bowiem z dużą odległością miejsca pracy od obozu „sztab" zmotoryzował się. Przy wejściu wybudowano olbrzymiego „Orła", a w budce wartowniczej zamiast „Blaszaka" stoi nasz służbowy i b. grzecznie oklinając wpuszcza i wypuszcza bractwo do pracy, na spacery itp. Słowem „polska wacha". Dany nam 4 - tygodniowy okres próby przeszliśmy bez „grandy i kantu" i mamy obecnie wewnętrzne zadowolenie,

że jestemy w porządku wobec rozkazów. O dyscyplinę wewnętrzną troszczy się skutecznie por. M., jedyny na swym posterunku po zabraniu z obozu innych oficerów. Kantyna obozowa przeszła obecnie na naszą własność. Każdy dał na ten cel franka. *Z. J.*

HOHENTANNEN (kt.Thurgau). — Z początkiem marca ub. r. grupa 56 ludzi z Parku Art. w Affeltrangen przybyła tu celem przeprowadzenia robót drenarskich. Trzydziestokilkuhektarowy obszar bagnistego gruntu wymagał dużej roboty, trzeba było bowiem wykarczować z całego terenu gęsto porosłe krzaki i drzewa, ażeby przystąpić do właściwych prac. Jeden więc zespół usuwał zarośla, podczas gdy drugi przekopywał rowy głębokości 160 - 350 cm na ogólnej długości 15 km. Nierówny teren, ziemia twarda, glina pomieszana z kamieniem, masy drzew zapadniętych i przegniłych z biegiem czasu pod powierzchnią gleby — wszystko to razem utrudniało kopanie rowów. Rodzaj pracy był dla niejednego z nas, nie mającego wprawy w robocie fizycznej, swego rodzaju próbą wytrzymałości. Ostatecznie dzieło nasze wykończone w ciągu 9 miesięcy.

Już późną jesienią traktory z trudem przeorywały oporną glebę, w miejscach zaś niedostępnych dla ciężkiego ciągnika pług zastąpiły łopaty. Zdarto i usunięto dziesiątki ton mchu. Obecnie teren naszej pracy, nieużytkowany od niepamiętnych czasów, po zbudowaniu na tym odcinku półtorakilometrowej szosy zmienił do niepoznania swój pierwotny wygląd. A po zastosowaniu nawozów sztucznych urodzaje są piękne.

Nie ma niedzieli, żeby nie przybywały korowody okolicznych mieszkańców, wyrażających się z podziwem o dokonanej przez nas w krótkim czasie pracy, powiększającej ich gospodarkę narodową. Cieszymy się też wielkim poważaniem i uznaniem.

Do końca listopada ub. r. za kwaterę i świetlicę służyła nam salka restauracyjna, nie odpowiadająca koniecznym warunkom, wreszcie jednak sprowadzono baraki i od tej chwili warunki te uległy zmianie na lepsze. W jednym z baraków znajduje się świetlica, sklep żołnierski i jadalnia. Mamy radio, bibliotekę, różne gry, prenumerujemy pisma. W świetlicy panuje miła atmosfera, zatrzymująca w niej naszych żołnierzy, przez co unika się chodzenia do restauracyj. Spółdzielnia pomyślnie się rozwija, gdyż członkowie we własnym interesie wkładają prawie całkowite swoje zarobki w powiększenie obrotów. Kapitał nasz stale wzrasta, co pozwala nam na regularną wysyłkę paczek do jeńców i na in. cele kulturalno - oświatowe. W okresie zimowym mieliśmy kursy języków obcych oraz wygłaszane przez oficerów odczyty. Utrzymujemy obóz w dobrej formie, z niezłomną wiarą, że będziemy potrzebni.

B. P - ko

ZUGERBERG. — Gdzieś w środkowej Szwajcarii wznosi się dumnie góra. Stopy kąpie w jeziorze, głową sięga chmur. Strome zbocza pokrywają lasy, tworząc niby ciemnozielony dywan. Gdzie niegdzie prześwituje jaśniejszą plamą łąk — podalpejskich hal. Niemal na samym szczycie, wśród niebotycznych świerków, powstał obóz. Niewielkie baraki kryły się wśród drzew, zlewając się z ciemnym tłem otoczenia. W tych ramach płynęło życie prawie stu internowanych. Mieszkali tu jesienią i większą część zimy. Karczowali lasy, niwelowali ugory. Aż wreszcie zjechali w dół do bardziej ludnych okolic. Lecz na wiosnę znowu można było widzieć zwartą kolumnę zielonych mundurów, podążających na poprzednie kwatery. Rozpoczęło się dawne życie, wypełnione pracą życie internowanych. Mijały dni i miesiące. Ciężki motorowy pług orał nigdy nie uprawiane zagony; kultywatory, kambele, brony talerzowe rozcinały i kruszyły zwartą, zrośniętą skibę. Wszędzie pracowali Polacy. Widziano ich przy koniach, przy maszynach, z łopatami i motykami w ręku, przy sadzeniu ziemniaków w myśl hasła dopomożenia Szwajcarii w samowystarczalności. „Mehr aubauen oder hungern".

Mijały tygodnie. Kartofle pięknie powschodziły. Zaczęło się radełkowanie i obsypywanie młodych pędów. Wciąż robota, nieprzerwana praca na roli. Aż pewnego razu zawrzało w obozie, jak w ulu. Oto przyszła kartka od redakcji „Gońca" z zapytaniem: "Czy nic się u was nie dzieje? Czemu nie mamy od was wiadomości?"

Na chwilę nawet zwątpiliśmy w samo istnienie obozu. A może my wcale nie istniejemy, gdyż brak nam korespondenta? Ale mamy przecież pieczątkę „Arbeitslager Zugerberg", wystarczy zresztą przejść się za obręb lasu: wszędzie ciągną się rozległe pola, wszędzie wre praca, praca internowanych...

Ochłonęliśmy z pierwszego wrażenia, otrząsnęliśmy się z ogarniającego nas kompleksu niższości. A może my nie jesteśmy tak bardzo gorsi od innych, aczkolwiek nie mamy możności „pokazania się" i nie urządzamy uroczystych akademij „przy współudziale zaproszonych gości". Ale zato, gdy nas tu nie będzie, pozostanie owoc wielomiesięcznej pracy, co utrzymuje naszą tężyznę duchową i cielesną... Rozjaśniły się nam twarze: nie myśleliśmy o tym i nie pisali, uważając to za rzecz samo przez się zrozumiałą.


Poobiedni odpoczynek

Rozeszlimy się do naszych baraków, by odpocząć po dzisiejszym dniu, a korespondent - dyletant, domorosły pisarz, zapalił naftową lampę — jedyne nocne oświetlenie — i napisał to sprawozdanie.

(skromny korespondent)

PFAEFFIKON. — Dzięki energii naszego oficera odpowiedzialnego i pomysłowości szwajcarskiego komendanta obozu nie mamy dzisiaj w obozie ani jednego bezrobotnego, a w całym Pfäffikonie i okolicy nie znajdzie się ani metra kw. nieużytków, leżących odłogiem. Nawet niektóre zabrukowane podwórza zamieniono na piękne ogrody warzywne. Jaka jest powierzchnia uprawianych przez nas gruntów — trudno powiedzieć, ponieważ komisja melioracyjno - komasacyjna nie ukończyła swoich prac mierniczych, w każdym razie jest tego sporo. Nasz dowódca batalionu oblicza na kilkadziesiąt morgów, wg zaś szwajcarskiego komendanta obozu wypada cyfra, idącą w tysiące arów.

W dzień powszedni baraki nasze są zupełnie puste, jedynie w budce śp. wartownika siedzi drzemiąc groźny szef baraków, mając przy sobie syfon wody sodowej, którą gasi pragnienie, spowodowane wysiłkiem przy tej pracy.

Przed południem zjeżdżają wysłannicy poszczególnych grup pracy po obiad, którzy rozwożą na małych ręcznych wózkach. Szef baraków sprawdza stan grup, szef kuchni metrem odmierza porcje sera lub mięsa, kucharze nalewają, krają wydają... Wnet schodzą się na obiad funkcyjni i ci co pracują w pobliżu, lub w ogródkach przybarakowych. O godz. 13 cisza zapada nad barakami. W godzinach pracy na ulicy trudno spotkać internowanego. Jeśli się nawet i przewinie który, to trudno go rozpoznać w granatowym roboczym ubraniu.

Pracującym na poszczególnych parcelach trudno nawet pomyśleć o „obijaniu się" w pracy. Pierwszym, który na to nie pozwoli, jest komendant grupy, a gdyby nawet ten popuścił, to nie wiadomo z której strony zjawi się na kontrolę dowódca batalionu, który na damskim bicyklu bierze na drugim biegu największą górę, na równinie zaś sunie przeciętnie 7 km/godz. Na tym nie koniec: za oficerem odpowiedzialnym „fruwa" jeszcze szwajcarski komendant obozu na prawdziwym motocyklu. Prawde mówiąc tego ostatniego można jeszcze jakoś „nabić w butlę", ponieważ nie zna się na rolnictwie, lecz nasz dowódca baonu, jako były właściciel ziemski, wyznaje się na tym doskonale, wymaga przedwojennej roboty i wszystko nazywa zajęciem służbowym.

Nie możemy narzekać, że nam czegoś brakuje, albo że władze się o nas nie starają. Oto przykład: Od początku sezonu pracuje jedna grupa nad budową plaży dla

internowanych na Pfäffikońskim jeziorze. Plaża ma być ukończona i oddana do użytku internowanym... w pierwszym roku po wojnie. Do tego czasu muszą się zadowolić wspólną plażą, mimo że są narażeni na różne niespodzianki i pokusy ze strony nurkującej płci pięknej.

Dopiero w niedzielę jest ruch w obozie i życie wre. W baraku nr 2, będącym zarazem świetlicą, zamknietym przez cały tydzień z uwagi na wysokowartościowe dzieła sztuki malarskiej (między in. wisi tam nieocenionej wartości portret naszego bibliotekarza) zbiera się w niedzielę rano cały batalion i przez dwie godziny grzmi tam groźny głos naszego dowódcy batalionu, głoszącego nauki umoralniające, sypią się pochwały i nagany, zapowiedź „paki", a nawet Wauwilermoosu. Następnie jeszcze oficer oświatowy zabiera głos na temat kościelny i jak się nazywają ci, co to ich trzeba szukać po barakach, by poszli do kościoła. Na zakończenie zasady nowej pisowni polskiej...

Godz. 10,50: zbiórka, raport i odmarsz przy dźwiękach pułkowej orkiestry na nabożeństwo, potem obiad i wolne wyjście. Tak się kończy każdy tydzień w naszym obozie.

C. Wł.

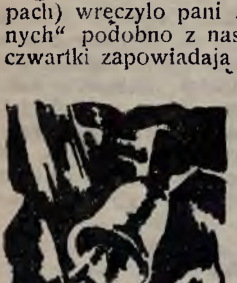
GEBENSTORF. Każda pliszka swój ogonek chwali. Jedni mówią; u nas tak, drudzy: zrobiliśmy to i owo, ja zaś powiem: u nas w czwartki są aż dwie kolacje. Dwie! Jak pragnę masła do chleba, że nie bujam. Jednego się tutaj obawiam, że zaczną zaraz hurmem walić do nas repeciarze z sąsiednich obozów, ale — bez „Mahlzeiten - Coupons" nic nie dostaną.

Powoli, nie pchać się, a wyjaśnię: pierwszą wieczerzę fasujemy dla naszych żołądków, druga — to pokarm duchowy. A zaczęło się od wyznaczenia nowego oficera oświatowego. Nasz Tato - dowódca, kpt. K., wlazł raz do izby podchorążych, wywlókł jednego najdłuższego za łeb i rzekł: „Będziecie oświatowym". I stało się. Cóż biedak miał odpowiedzieć? „Długi" głową księżyca dosięga, oświatę prosto z nieba będzie czerpał, reszta zaś podchorążych i cenzusowców jako prelegenci.

W pierwszy taki czwartek cała sala od godz. 19 do 21 wypełniona była po brzegi. Ortschef radził nawet, by od strony zewnętrznej podeprzeć ściany kołkami, bo szkoda baraku. Wieczorek składa się zazwyczaj z dwóch części: poważnej, podczas której wykładowcy wygłaszają interesujące zazwyczaj referaty, oraz wesołej, na którą składają się skecze i przeróżne piosenki, spłodzone i wykonane przez grupę naszych „artystów" i domowy zespół muzyczny.

Gościliśmy też p. Sandoz - Pańkowską. Oj, wesoło też było, aż trzęsły się brzuszyska od śmiechu, a ręce popuchły wojskowej braci od bicia hucznych braw. Zespół naszych wesołków, wraz z panią MSP, odegrał skecz pt. „Kot w domu — myszy na stół" i wykonał kilka piosenek, opiewających życie obozu i niektórych jego mieszkańców. Tego wieczora dwóch żołnierzyków (w pożyczonych sztylpach) wręczyło pani MSP. bukiet goździków („podpylonych" podobno z naszego wspólnego ogródka). Dalsze czwartki zapowiadają się jeszcze wspanialej.

Hen.



PODZWONNE

W dniu 18. V 1942 r. utonął w czasie kąpieli w rzece Maggia śp. Mieczysław Pacuła plutonowy II/102 pac., urodz. 12. IX 1907 r. Krakowie, osierocając żonę i córkę.

Pogrzeb odbył się dnia 20. V 42 r. w Losone przy udziale przedstawiciela poselstwa R. P., przedstawicieli władz szwajcarskich, kolegów oraz licznych delegacyj ze wszystkich większych obozów odcinka Tessyn. Nad grobem pożegnał zmarłego dowódca pułku ppłk. dypl. Maliszewski. Honory wojskowe oddał oddział wojska szwajcarskiego.

* * *

13 czerwca br. w obozie Ennetmoos zmarł tragicznie, rażony prądem elektrycznym przy wykonywaniu pracy, st. strz. śp. Jan Wielgosik, (ur. 17/VI 1905 r.) z 8 komp. 4 W. psp., żonaty, ojciec dwojga dzieci. W pogrzebie, który odbył się 16/VI w Stans, wzięli udział: przedstawiciel poselstwa R. P. i Dowódcy Dywizji, koledzy Zmarłego oraz liczna ludność cywilna. *(j. t.)*

Czytelnicy piszą

Krytykujmy »Gońca«



Od jednego z naszych Czytelników, P. A., otrzymaliśmy --- zamiast odpowiedzi na ankietę na temat »Gońca« --- obszerny list, z którego cytuję na razie dosłownie wstęp, brzmiący jak następuje :

»W odpowiedzi na ankietę z dnia 15. VII 42 r. w nr 14/46 zauważam, że w rozmowach z kolegami na terenie obozu Peilerwald (Vals) w kt. Graubünden (obóz uniwersytecki, złożony z grupy Herisau, Fryburg, Winterthur) pytałem, kto zabierze się do »krytykowania« Gońca, ale odniosłem wrażenie, że amatorów nie ma. Może okaże się, że jednak tacy są i że na apel odpowiedzą. W pewnej chwili, gdy było 7 osób razem i gdy zaproponowałem, by się zabrali do pisania tzw. »krytyki«, odpowiedź brzmiała: nie warto. Na pytanie, czy jest to pismo nasze czy dla nas, odpowiedziało sześciu, że dla nas, a jeden, że dobrze by było, gdyby było nasze, bo by tam więcej ludzi pisało, byłyby tam ciekawsze felietony i każdy by chętniej dopytywał się o »Gońca«. Inny zapytał mnie, czy autorzy dostają coś za artykuły. Odpowiedziałem, że nie wiem i że ja nigdy nic nie dostałem. Na to ktoś się odezwał: »Od aspiranta wzwyż« -- i wybuchł śmiech. Inny znów powiedział, że »Gońca« czyta dorywczo, artykułów żadnych nie pamięta, więc do odpowiedzi na ankietę brak mu materiału. Podobne zdanie wypowiadają i niecenzusowcy...«

Przyznaję, żem się w pierwszej chwili po przeczytaniu takiego wstępu --- zarumienił. Czyżby istotnie taki był stosunek naszych cenzusowców do pisma, którego nakład ostatnio przekroczył 7000 (słownie: siedem tysięcy) egzemplarzy i którego numer bieżący --- pięćdziesiąty --- jest do pewnego stopnia numerem jubileuszowym?

Odetchnąłem, gdy jeszcze raz sobie powtórzyłem, że chodzi tu przecież o opinię tylko tych »siedmiu osób razem« i że opinia ta -- wydaje się opinią ludzi z tej kategorii, co to lubią dużo się oburzać i wszystko krytykować z ukrycia, ale gdy przyjdzie co do czego, to --- przyparci do muru --- szybko chowają głowę w piasek. Znamy, niestety, już takich. Znamy. Czyż to nie jeden z nich radził nam swego czasu powieszenie się na suchej gałęzi za któryś z artykułów wstępnych, ale gdy zaproponowaliśmy mu, zamiast trucizny, napisanie »wzorowego« artykułu do numeru wielkanocnego --- nie odezwał się wcale? *). Czy to nie jeden z nich oświadczył kiedyś naszemu współpracownikowi »dumnym« głosem, że pisanie do »Gońca« obrażałoby jego osobę i pióro?

Spróbujmy jednak rozważyć o co chodzi tym, o których pisze nasz Czytelnik, A. P.

Na wstępie do ankiety pt. »Krytykujmy »Gońca«, pisma --- jak to uparcie i stale podkreślamy --- w pierwszym rzędzie dla szeregowych, stwierdziliśmy, że, rozpisując tę ankietę, pragniemy dać możność naszym Czytelnikom jak największego wpływu na redagowanie naszej gazetki, mającej ---

---

*) Patrz „Szczyptę słów gorzkich" na str. 11 w nr 12/44 „Gońca".

co już niejednokrotnie zaznaczaliśmy --- stać się n a s z y m wspólnym pismem.

Ankieta więc ma na celu ustalenie, co się Czytelnikowi podoba a co nie, czego jest w piśmie za dużo, a czego za mało, jak pismo w oczach Czytelnika wygląda obecnie i jak ma --- jego zdaniem --- wyglądać na przyszłość. Słowem ankieta zmierza w ł a ś n i e do tego, ażeby pismo było jak najbardziej n a s z y m, pismem n a s wszystkich, złączonych tutaj, na internowaniu, wspólną przecież dolą i niedolą. I oto w odpowiedzi na tak pojęte intencje ankiety »7 osób razem« odpowiada: »Nie warto!« A więc nie warto rozumnie krytykować, nie warto dążyć do naprawy pisma, jego polepszenia, podniesienia i upiększenia, poparcia jego wysiłków itd.

Dlaczego?

Czy dlatego, że, zdaniem tych siedmiu, nie jest »nasze«? Czy dlatego, że za artykuły nikt nie płaci?

Bo przecież ankieta w ł a ś n i e proponuje każdemu, ażeby się w miarę sił i możliwości przyczynił do tego, by pismo --- jeśli nie jest lub jest w niedostatecznym stopniu --- s t a ł o się n a s z y m pismem naprawdę. Ankieta w ł a ś n i e szuka sposobów na to, porady, pomocy, poparcia --- i to w ł a ś n i e w pierwszym rzędzie u tych, którzy do tego z racji swoich zainteresowań czy cenzusów są przede wszystkim powołani.

Ale oto obserwujemy ciekawe zjawisko: zwykły żołnierz, ten od codziennej harówki u »bambra« czy niemniej ciężkiej roboty w obozach pracy, pisze nam niewprawną, ale jakże serdeczną ręką o tym, co o piśmie myśli, czego w nim najpierw szuka, co czyta z największym zainteresowaniem, prosi o nowe działy czy artykuły, których dotychczas za mało w piśmie znajdował, przy czym sięga po argumenty nie tylko do ostatnich, ale nawet do tych pierwszych numerów »Gońca«, cytując tytuły czy urywki nawet, zapamiętane z tak rozrzewniającą dokładnością, a oto ci --- »7 osób razem« --- którzy zbywają wielką i poważną dla pisma sprawę słowami »nie warto« --- czytają »Gońca« »dorywczo«, artykułów »zasadniczych« nie pamiętają, brak im »materiału« do odpowiedzi na ankietę, która zresztą, jak to notuje w innym miejscu nasz Czytelnik, A. P. --- jest dla nich... »nużąca«!

Czyż to ma być ta pomoc, ta w s p ó ł p r a c a w uczynieniu »Gońca« n a s z y m pismem?

Albo ten »śmiech«, co to wybucha na te co najmniej niemądre »od aspiranta wzwyż«? Czyżby to była odpowiedź na ankietę? I to wtedy, gdy kilku drukarzy --- naszych żołnierzy-kolegów --- codziennie, w słotę czy w pogodę, w zimie czy w lecie --- gania kilkanaście kilometrów, ażeby przez cały dzień składając »Gońca«, gdy redakcja walczy z rozmaitymi trudnościami, o których w normalnej pracy tego rodzaju nigdy nikomu się nie śniło, a administracja --- prowadzona przez naszych gospodarzy Szwajcarów --- męczy się z trudnościami materialnymi, zastanawiając się, jak pokryć coraz bardziej pęczniejący deficyt wobec rosnącego nakładu, niskiej ceny pisma i zwiększającej się drożyzny papieru i kosztów druku?

Nie, Koledzy, za artykuły s i ę n i e p ł a c i ani »wzwyż« ani w dół od aspiranta, nie płaci się, bo nie ma z czego płacić i n i e t r z e b a płacić, gdyż ci, którzy do »Gońca« piszą, traktują swoją pracę, jako pracę ideową, dla dobra nas wszystkich podejmowaną i ponoszoną. Nie wymagają oni zapłaty. I jak należy przypuszczać --- wstydziliby się o tym mówić, a cóż dopiero śmiać się!

Nie boimy się krytyki, prosimy o nią stale, ostatnio daliśmy temu najlepszy wyraz w ankiecie --- ale, jak zawsze, lojalnie zaznaczamy, że chodzi nam o z d r o w ą krytykę tzn. taką, która --- obok rzeczowego i możliwie gruntownego omówienia błędów czy niedociągnięć --- wskazałaby przynajmniej ogólnie na sposoby, przy pomocy których można byłoby te błędy osłabić lub całkiem usunąć.

Starszy Strzelec

Nowy

PORADNIK

Wysyłka banknotów francuskich do Francji

Pierwsza akcja „Gońca" pośrednictwa w przesyłce banknotów francuskich do rodzin we Franjci została zakończona. Trwała ona nieco długo, gdyż Czytelnicy nie dostosowali sie do terminu podanego w „Gońcu" i podania wpływaly długo po terminie. Dnia 7 sierpnia przekazane zostały pieniądze pod podanymi nam adresami.

Wobec dalszych prośb Czytelników organizujemy druga wysyłkę. W tym celu nadsyłać nam należy **w nieprzekraczalnym terminie do 15 października** b. r. banknoty francuskie (posiadane w chwili przekroczenia granicy szwajcarskiej) wraz z następującym podaniem:

Je soussigné (imie i nazwisko) soldat interné a Suisse, nationalite polonaise, adresse actuelle: camp d'internement à (podać obóz) sollicite l'autorisation d'effectuer le transfer de la somme de (podać kwotę) francs fr. de la Suisse au Credit Lyonnais a Lyon et d'autoriser cette banque à payer la somme sus-dite à (podać czytelnie imię i nazwisko i adres mającego otrzymać pieniadze*) signature (podpisać się).

Podanie potwierdzone musi być przez miejscowego Ortschefa (o ile możności z adnotacją, że kwotę tą posiadał petent przy przekroczeniu granicy szwajcarskiej. Najwyżej dopuszczalna kwota przekazu fr. 1000. Do podania dołączyć należy w znaczkach pocztowych fr. 1. — na koszta.

*) **Z zaznaczeniem: „Monsieur". „Madame" lub „Mademoiselle".**

POSZUKIWANIA

P o s z u k i w a n i s ą:

468. mgr GLASER Mieczysław z Drohobycza, mgr WIECZOREK Karol z Drohobycza, SZYMAŃSKI Leszek z Sambora przez Zbigniewa Mroza, Les Ponts de Martel.

469. PUCHALA Teofil z Rogóżna przez plut. Preissa Władysława, Sarnen.

470. KUŁAK Mikołaj z Poznania, dr Wiktor TOMASZEWSKI z Poznania przez Jana Leję, Matzingen.

471. CHARCZUK Teofil ur. 1894 w pow. Skałat przez brata Andrzeja Charczuka, Büren.

472. ppor. WOLSKI Antoni, ur. 1904, ze Składnicy Uzbr. Toruń przez asp. Popławskiego Mariana, Matzingen (wiadomość od żony).

473. PONIATOWSKI z Chorzowa przez Maksymiliana Smykałę, Illarsaz.

474. ppor. BURSA Lech, nr 48630/IV A, Oflag II C. barak 6 b. poszukuje kolegów z zakładu św. Łazarza we Lwowie. Wiadomość przez kpt. Zimnocha, Riniken.

475. st. sierż. KORPANTY Tomasz oraz chor. KWIATKOWSKI Ignacy przez Edw. Janickiego, Wetzikon.

Pośmiejmy się

TRZY „P"

Do lekarza pułkowego zgłasza się młody, przystojny aspirant. Pacjent jest wyraźnie zmęczony i osłabiony. Na zaproszenie lekarza siada na ławce, poczem zapala papierosa.

— Czem mogę służyć? — zapytuje lekarz.

— To samo, panie doktorze, żadnej poprawy.

— To niemożliwe. Wobec tego jeszcze raz zapiszę panu...

— Już wiem, pewnie te trzy „p".

— Jakie trzy „p„?

— Pierwsze: nie palić. Drugie: nie pić. Trzecie: nie flirtować.



DOGADALI SIĘ...

— Czy wyhodowaliście te kwiaty sztucznie?

— Naturalnie!

— Naturalnie?

— Nie, sztucznie.

— No więc czy naturalnie, czy sztucznie?

— Naturalnie, że sztucznie.

NIEPOROZUMIENIE

Kolejarz na skutek nieszczęśliwego wypadku trafił do szpitala. Tam odwiedził go przełożony, by wywiedzieć się o szczegółach.

— Jak dawno pracuje pan w kolejnictwie?

— Od piętnastu lat.

— Ile pan sobie liczy lat?

— 45.

— Czy pan żonaty?

— Tak.

— Teraz proszę mi opowiedzieć, w jaki sposób wydarzyło się nieszczęście?

— To już pan wie. Kiedy byłem młody — ożeniłem się...

SKUTKI GRZECZNOŚCI

W tygodniku „Schweizer Frauenblatt" z dnia 7. VIII znajduje się taki sobie, mile opowiedziany żarcik o internowanych:

Mała Urszula bawi na wakacjach z rodzicami u swoich dziadków. Pewnego razu przyszło w odwiedziny kilku internowanych Polaków, którzy przecież słyną ze swej uprzejmości, co zresztą przez część naszych mężczyzn jest im brane bardzo za złe, jako objaw nieuczciwej — tak to przynajmniej oni rozumieją — konkurencji. Internowani cieszą się dziećmi i bawią się z nimi. Panna Urszula, czteroletnia osoba, zwraca na wszystko uwagę i jest widocznie przejęta ważnością swojej osoby.

Kiedy tego wieczoru matka układała ją do snu, Urszulka odezwała się nagle z wyrazem bezgranicznego lekceważenia: „Och, ci głupi Polacy!" Zdziwiona matka upomniała ostro dziecko, aby w swej nadmiernej śmiałości nie używało tak niewłaściwych wyrazów. Lecz Urszula z niepohamowanym uporem przekonana o swojej słuszności powtarza: „A właśnie, że są głupi! Przecież żaden z nich nawet na pożegnanie nie pocałował mię w rękę".

HISTORIE MEKSYKAŃSKIE

Często próbowałem w Meksyku kupić coś od podążających na targ chłopów. Lecz to się udawało rzadko, aczkolwiek musieli oni całą dobę wędrować, ciężko objuczeni, na miejsce przeznaczenia. Iść bowiem na targ, to nie tyle gospodarcza konieczność, co towarzyska potrzeba dla ludzi, żyjących na pustkowiu.

Mieszkając w Coyoacan kupowałem stale u pewnej kobiety na rogu placu co dzień dwie pomarańcze. Któregoś dnia miałem u siebie gości i dlatego chciałem zakupić u kobiety cały zapas owoców, jakieś 4 tuziny. Przekupka spojrzała na mnie surowo:

— Tu są pańskie dwie pomarańcze. Wyszukuję zawsze dla pana najlepsze.

— Lecz ja chcę nabyć wszystkie, które pani tu posiada.

Nastroszyła się w swej sutej spódnicy jak rozgniewana kwoka.

— Tego pan uczynić nie może. Też pomysł! Co pan sobie myśli, że co ja poczną przez resztę dnia, nie mając więcej pomarańcz na sprzedaż?

* * *

W pobliżu mego domu w Coyoacan stał jednonogi żebrak. Każdego ranka rzucałem 5 centavos do jego obszarpanego kapelusza. To był jowialny oberwaniec, zawsze gotów do żartu i kawałów. Wydarzyło mi się jednego razu wyjechać na cały miesiąc. Skoro wróciłem, twarz jego promieniała zachwytem. Jak zwykle rzuciłem monetę 5-centową do jego kapelusza.

Wyłowił ją jednak i zwrócił mi.

— Pan mi jest winien 1 pezo i 65 centavos — oświadczył tonem głębokiego przekonania.

I żądaną kwotę mu wypłaciłem.

Carleton Beals

ZŁODZIEJSKA DOLA

Złodziej wygłodniały, chociaż zaopatrzony w auto, rozbija szybę wystawową sklepu spożywczego w miasteczku Danville (Wirginia), chwyta dwie ciężkie szynki, wrzuca je do wozu i wyrywa. W sklepie wybuch śmiechu: Obie szynki były doskonale zrobionymi... szynkami z drzewa.

SPRYCIARZ...



Pogromca: — Ta pani trzyma w zębach kawałek cukru, a lew weźmie go z jej ust. Ja ofiaruję tysiąc franków temu śmiałkowi spośród widzów, kto potrafi dokonać tej sztuki.

Głos z widowni: — Doskonale, dyrektorze, ja to zrobię. Ale niech pan tylko zabierze stamtąd tego lwa!

ADRESY: Redakcja: Redaction du Journal des Internés polonais, Münchenbuchsee.
Administracja: Commissariat Fédéral à l'Internement, l'Officier de presse, Poste de campagne 17.
Wpłaty dla „Gońca Obozowego" na (blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern

Cena „Gońca Obozowego":
dla oficerów i aspirantów Fr. 0.25
dla podoficerów i szeregowców Fr. 0.10
dla osób cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.50

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement,
Poste de campagne 17.